

Carolyn Zane

Bajeczny spadek

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cynthia Noble, ukryta za bukietem białych lili, obserwowała swojego narzeczonego, Grahama Wingate'a, flirtującego beztrąsko z asystentką prawnika, jasnowłosą seksbombą o zamglonym wzroku i zniewalającym uśmiechu.

Cóż, ta młoda osóbką była niewątpliwie atrakcyjna.

Cynthia westchnęła.

Zachowywać się w ten sposób tuż po pogrzebie własnego dziadka! Czy Graham kiedyś dorośnie? Ukryła twarz w dłoniach i mocno potarła rękami skronie. Bardzo wątpliwe. Przecież skłonność do flirtów stanowiła właśnie jego urok. Dlatego wpadł jej w oko. Był uroczy, przystojny, pracowity, mądry i wesoły.

Tylko nie wierny.

A to stawało się nieco kłopotliwe.

Cynthia przesunęła się w stronę wyjścia, by pożegnać tych, którzy przyszli dzisiaj, by uczcić pamięć Alfreda Wingate'a, dziadka Grahama, Alfred Wingate, milioner i filantrop, był dla wielu wzorem do naśladowania. Katherine, matka Grahama, krucha i delikatna kobieta, leżała bezwładnie na staroświeckiej sofie w salonie przylegającym do ogromnego foyer, zbyt wyczerpana, by pełnić honory pani domu.

Cynthia, jako asystentka Alfredą czuła się zobowiązana do zastąpienia jej w tej roli, choć i ona padała z nóg.

Wyciągnęła rękę do starszej pani Meier, dziedziczki karmelkowej fortuny.

-Tak się cieszę, że zechciała pani przybyć na dzisiejszą uroczystość.

-Za nic w świecie nie opuściłabym takiej okazji. - Koślawe palce pani Meier bawiły się broszką przypiętą do sukni. - Alfred Wingate był kiedyś bardzo przystojnym mężczyzną. Odwiedzał nas często, zanim poznał Jayne.

- Jego żona miała na imię Elaine - poprawiła delikatnie Cynthia.

- Co takiego?

- Elaine. Naprawdę cieszę się, że pani przyszła.

- Dziękuję, kochanie, ale mam na imię Marta. Cynthia uśmiechnęła się wyrozumiale, przytrzymując drzwi. Podmuch wiatru znad jeziora Waszyngton smagnął ich włosy i spódnice, rozwiewając liście na trawniku. W oddali na ciemniejszym niebie jarzyły się światła miasta. Nad Pacyfik nadciągał sztorm.

W końcu Cynthia pożegnała już wszystkich przyjaciół Wingate'ów. Rozejrzała się wokół i pomyślała, że dla niektórych atmosfera wieczora stała się wyjątkowo gorąca. Rozmowa Grahama z nową „przyjaciółką” rozgrzała ich do czerwoności. Graham oparł rękę o ścianę, jakby chciał przyszpilić swoją zdobycz i śmiał się, błyskając białkami oczu. Dziewczyna, prężąc ciało, wygięła się w jego stronę i rozchyliwszy usta, utkwiała w jego twarzy rozmarzony wzrok.

Cynthia skuliła się mimowolnie.

Dzięki Bogu, że to już koniec.

Od miesiąca przeżywała prawdziwe piekło, ale ze względu na Alfreda musiała zachowywać pozory. Nareszcie, już za kilka godzin będzie wolna.

Sama i niezależna.

Ta myśl podniecała ją i przerażała. Nie znosiła samotności, ale jeszcze bardziej nie cierpiała fałszu. Jej zaręczyny z Grahamem okazały się jedną wielką pomyłką. Jeszcze dziś mu to zakomunikuje. Potem zastanowią się, jak oznajmić to jego rodzicom, i w końcu każde z nich pójdzie własną drogą.

Westchnęła. Wiedziała, że Graham z pewnością nie będzie przeżywał zerwania tak jak ona.

Nie szkodzi.

Znajdzie sobie jakieś zajęcie. Ma studia, nową pracę. I... psa. Zagryzła wargi. Zawsze marzyła o tym, by mieć kogoś bliskiego. Przeżyć taką miłość jak jej nieżyjący już rodzice.

Czuła, że za chwilę się rozplacze.

W tej samej chwili adwokat uniósł do góry kryształowy kieliszek i postukał srebrnym nożem w szkło. Z licznych gości zostali już tylko krewni i przyjaciele.

- Panie i panowie - odezwał się adwokat. - Pora odczytać testament. Proszę tych z państwa, którzy są do tego uprawnieni, o przejście do biblioteki.

Kiedy pracownicy kancelarii adwokackiej przygotowywali się do odczytania ostatniej woli zmarłego, rodzina i przyjaciele Alfreda przechadzali się po jego okazałej bibliotece. Wszyscy mieli nadzieję, że zmarły pamiętał o nich w testamencie.

- Alfred był wspaniałym człowiekiem.

- Filantropem.

- I mecenasem sztuki.

- Był szlachetny.

- Kochający.

- Prawdziwy święty.

Cynthia zmarszczyła brwi. Gdzie oni byli, gdy ten kochający i szlachetny człowiek przez cały rok cierpiał w samotności w swojej ogromnej rezydencji na wzgórzu? Tylko ona i rodzice Grahama pamiętali o nim. Inni odwiedzali go tylko wtedy, gdy wymagały tego interesy lub względy towarzyskie.

Minęła rzędy krzeseł ustawionych w bibliotece i usiadła z tyłu. Po chwili dołączył do niej zaczerwieniony Graham. Ujął jej dłoń i lekko uścisnął, a ona zrozumiała nagle, że dla niej największą wartość w ich związku miała właśnie jego rodzina.

A przede wszystkim dziadek Alfred.

Była bardzo przywiązana także do jego nieco ekscentrycznych rodziców - powściągliwego Harrisona i delikatnej Katherine.

Pochyliła głowę, wstrzymując łzy. Tak bardzo będzie jej ich wszystkich brakowało. Wszystkich oprócz Ricka, starszego brata Grahama. Prawdopodobnie czekało ją jeszcze spotkanie z tym źle wychowanym globtroterem, ale skoro on zlekceważył nawet śmierć i pogrzeb Alfreda, być może uda się jej tego uniknąć.

Rick Wingate postawił torbę na marmurowej posadzce w czarno - białą kratkę w holu rezydencji dziadka i zamknął za sobą drzwi. Z zewnątrz dobiegał skowyt wiatru. Jak dobrze, że udało mu się wrócić do Seattle, zanim zamknęli lotnisko.

W domu było dziwnie cicho i pusto. Nie spotkał nawet służby, choć wszędzie pozapalano światła, a w powietrzu przyjemnie pachniało świeżą kawą.

Przecesał ręką przydługie włosy. Zerknąwszy w ogromne poślacane lustro przy wejściu, od razu pożałował, że nie znalazł czasu na fryzjera. Jak zwykle nic nie wyszło z jego planów. Zaklął pod nosem. Wszystko przez tę burzę i odwołany lot. Dlatego nie zdążył na pogrzeb dziadka, mimo że bardzo chciał pożegnać człowieka, który wywarł tak wielki wpływ na jego życie. Z westchnieniem wepchnął koszulę w dżinsy, by choć trochę poprawić swój wygląd.

Z biblioteki dobiegały jakieś głosy. Rick domyślił się, że właśnie odczytywano testament. Po cichu wślizgnął się do środka. Łysiejący prawnik stał przy potężnym rzeźbionym biurku Alfreda, ściskając w garści plik papierów.

- Dziękuję państwu za przybycie. Wiem, że to bardzo trudny okres...

Rick prawie bezszelestnie przesunął się pod wielką doniczkową palmę stojącą tuż obok drzwi. Obrzucił wzrokiem zebranych i skrzywił się z niesmakiem. Oprócz ojca i matki

większość z nich przyszła tu dla pieniędzy. Pewnie od lat nie spotykali się z Alfredem. Podrapał się w brodę. Cóż, podobnie jak on. Ostatni raz widział dziadka przed dwoma laty na Boże Narodzenie. Ale jego przynajmniej nie sprowadziły tu dzisiaj pieniądze.

- ...jego szczodrość. Z wielkim żalem wypada podzielić jego majątek.

Spojrzenie Ricka zatrzymała się na matce. Siedziała wsparta na ramieniu ojca z pobladłą twarzą i zaczerwienionym nosem. Na widok syna uniosła do góry wiotką rękę, a on uśmiechnął się, dając jej znak, że podejdzie do nich po ceremonii. Rodzice byli rozpieszczeni i ekscentryczni, ale Rick wiedział, że będzie im brakowało zrzedliwego staruszka. Ich żal był szczery.

Za to Graham tylko udawał smutek. Był żywym wcieleniem egoizmu i niewątpliwie obliczał już w myślach procenty od oczekiwanego spadku.

- Zacznę od akcji. - Adwokat poprawił okulary na czubku kulfoniastego nosa. - Mojemu synowi Harrisonowi, ja, Alfred Wingate, będąc przy zdrowych zmysłach, zapisuję pięćset tysięcy akcji Systems Points West...

Rick przestał słuchać, wpatrując się w śliczną, zapłakaną dziewczynę siedzącą obok brata. Narzeczona Grahama. Przygryzł dolną wargę, powstrzymując uśmiech. Po raz pierwszy miał okazję ją zobaczyć. Do tej pory znał ją jedynie ze zdjęć wysyłanych mu przez matkę.

- ... dwieście pięćdziesiąt tysięcy akcji do podziału między moich siostrzeńców - Rogera, Teodora i Bradleya.

Tak jak wszystkie poprzednie sympatie Grahama była bardzo atrakcyjna. Elegancki, stonowany strój, na smukłej szyi staromodny naszyjnik z kameą, jasnobrązowe włosy gładko zaczesane do góry. A gdzie burza jasnych włosów, które zawsze tak lubił Graham?

Rick zmarszczył brwi. Dziwne.

Jego wzrok przesunął się po zgrabnych nogach dziewczyny. Musiała wyczuć, że ją obserwuje, bo odwróciła głowę i spojrzała w jego stronę. Rick skrył się w gęstwinie palmowych liści porażony niezwykłym, bladym błękitem jej oczu. Były niesamowite. Nieziemskie. Z pewnością największe, najjaśniejsze - niemal przezroczyste - oczy, jakie kiedykolwiek widział. Ona naprawdę była piękna.

Jak ta dziewczyna przez cały rok wytrzymała umizgi Grahama do innych kobiet? To po prostu niepojęte. Widocznie bardzo potrzebuje pieniędzy, inaczej dawno by stąd znikła.

Tak jak wszystkie inne.

- ...a mojej ukochanej synowej Katherine zostawiam wszystkie akcje transatlantyckiej...

Rick odsunął liść palmy, by lepiej przyjrzeć się delikatnemu profilowi Cynthii. Właśnie wytarła nos i policzki koronkową chusteczką z monogramem. To dziwne, pomyślał znowu. Narzeczona brata ma naprawdę klasę i zachowuje się z godnością, co było rzadką cechą u pozbawionych skrupułów łowczyń posagów, ale w końcu nie takie rzeczy zdarzają się na świecie, pomyślał z drwiną.

- ...do równego podziału między moich wnuków Richarda i Grahama.

Rick z roztargnieniem zastanawiał się, co takiego mógł odziedziczyć. Otrzymanie spadku nie zrobiło na nim wrażenia. Zawsze dawał sobie radę sam. Był dumny z tego, że jest jedyną niezależną osobą w całej rodzinie. Wiedział, że życie nie składa się wyłącznie z herbaty o dziesiątej i croissantów na śniadanie.

- Na tym kończy się podział aktywów płynnych. Teraz przejdę do obiektów materialnych. - Prawnik przejrzał papiery, odchrząknął, poprawił okulary na nosie, spojrzał w napięciu na salę, po czym zaczął czytać:

-Mojej przyszłej wnuczce, Cynthii Noble, zostawiam rezydencję Wingate Manor...

Na sali rozległ się pomruk zdziwienia, po czym zapadła kompletna cisza.

- ... wraz z arealem ziemskim oraz pełnym wyposażeniem, to znaczy meblami, obrazami, rzeźbami, samochodami, pozostałymi budynkami, florą, fauną et cetera, oraz znaczną sumę na rachunku powierniczym przeznaczoną na utrzymanie domu, pensje służby i tym podobne sprawy. - Prawnik zdjął okulary i zafrasowany przygryzł oprawkę, wiedząc, że jego słowa nie zostaną dobrze przyjęte.

Rick wydał usta i oparł się o ścianę, obserwując powstałe zamieszanie.

Ludzie odwracali się na krzesłach i z przymrużonymi oczami spoglądali oskarżycielsko na Cynthię, która wycierała nos chusteczką, zupełnie nieświadoma tego, co się stało. Powietrze gęstniało od szeptów.

-Dlaczego? - wymamrotał jakiś dalszy kuzyn z jastrzębim nosem. - Ona nawet nie należy do rodziny.

-Jeszcze nie - parsknął stryjeczny dziadek o oczach jak szklane paciorki.

-Kim ona w ogóle jest? A jej rodzina? Czy ktokolwiek o nich słyszał?

-No - pociągnęła nosem niezamężna ciotka - wystarczy na nią spojrzeć, żeby wiedzieć, dlaczego Alfred zostawił jej ten dom.

Rick zmarszczył czoło, bo komentarze stały się obraźliwe.

-Alfred był takim głupcem.

-Szaleniec!

-Skąpiec!

-Rozpustnik!

-Dał się omotać!



Rick znowu spojrział na Cynthię. Z głową odchyloną do tyłu i zaciśniętymi oczami zdawała się zupełnie nie dostrzegać, jak wielką wzbudza wrogość. Niezła z niej aktorka.

Graham szturchnął ją, uśmiechając się szeroko. Spojrzała na niego zażawionymi oczami i szybko zamrugowała.

- Co się stało? - spytała.

-Właśnie odziedziczyłaś dom.

-Dom? Jaki dom?

-Ten dom.

- Co takiego? - Cynthia zamrugowała ze zdziwienia. Katherine usiłowała otworzyć butelkę z tabletkami uspokajającymi.

-To z pewnością jakaś pomyłka - wykrztusiła, z trudem łapiąc oddech.

-Tata najwyraźniej sobie zażartował - dodał zdumiony Harrison, spoglądając na żonę zza grubych szkielek.

Oboje jednocześnie odwrócili się do Cynthii, uśmiechając się przepaszająco.

-Nie obraż się, kochanie - powiedziała z westchnieniem Katherine - ale jesteśmy po prostu zszokowani decyzją Alfreda. Przez tyle lat marzyłam, że kiedyś przeprowadzę się do domu na wzgórzu. A teraz... - Zamknęła oczy i oparła głowę na piersi męża.

-Nie wiem, co powiedzieć, naprawdę - wymamrotała pobladła Cynthia.

-Podziękuj - rzucił z przekąsem Rick, wychodząc zza palmy. - Jesteś bogata.

Cynthia spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem i przez sekundę wydawało mu się, że w jej jasnoblękitnych oczach dostrzegł ból. Nie. Ona udaje. Pewnie tak jak Graham liczy już zyski.

- To chyba jest niezgodne z prawem - zaprotestował delikatnie Harrison, odwracając się ponownie w stronę Cynthii, przy czym głowa żony opadła prawie na jego kolana.  
- Przecież nie mamy żadnej pewności, że twój związek z Grahamem okaże się trwały. - Był czerwony, spocony i uśmiechał się krzywo. - W razie jakichś zmian dom nie należałby już do naszej rodziny. Oczywiście teraz uważamy cię za członka rodziny, ale chyba rozumiesz nasze obawy.

Cynthia spojrzała na niego nieprzytomnie i skinęła głową.

Zdenerwowany prawnik próbował poluzować na szyi jedwabny krawat.

- Widzisz, Harrison, Alfred obstawał przy tym - szukał słów, które w grzeczny sposób wyraziłyby wolę wydziedziczenia rodziny - że to Cynthia, a nie członkowie najbliższej rodziny, winna odziedziczyć tę posiadłość. Miał swoje powody i oczekiwał, że uszanujemy jego wolę. Ściśle mówiąc - zanurzył rękę w stercie papierów - w testamencie jest zapis, że jeśli Cynthia nie przyjmie spadku, dom z całym wyposażeniem zostanie przekazany wskazanej przez nią organizacji charytatywnej.

- Co?! - Katherine i Harrison wytrzeszczyli oczy z niedowierzaniem. - To niemożliwe!

Prawnik uniósł kopię testamentu.

- Przykro mi, ale tak jest. Nawet jeśli Cynthia zechciałaby zwrócić dom rodzinie - wszyscy spojrzeli z nadzieją na dziewczynę - testament nie dopuszcza takiej możliwości. Wiem o tym, bo sam formułowałem ten zapis.

Rick widział, jak Cynthia zgięła się i ukryła twarz w dłoniach. Jej ramiona drżały.

Pokręcił z niesmakiem głową. Świetne przedstawienie. Na pewno będzie się cieszyć przez całą drogę do banku.

- Przepraszam. - Cynthia wyszczerzyła zęby w sztucznym uśmiechu, wsuwając się między zmysłową asystentkę i Grahama. - Oddam go pani za chwilę.

Święte słowa. Po co ma go zatrzymywać. Zdecydowanym ruchem chwyciła narzeczonego za rękę i odciągnęła w zaciszne miejsce przy drzwiach do biblioteki.

-Musimy porozmawiać.

- Jasne. - Graham uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie. - Gratulacje z powodu testamentu. Świetnie się spisałaś, skarbie.

- Świetnie się spisałam? - Cynthia wytrzeszczyła na niego oczy. - Co chcesz przez to powiedzieć? - Czy on myślał, że po to przesiadywała w gabinecie dziadka, żeby zdobyć ten dom?

Graham skrzywił się z zakłopotaniem.

- Mmm...

-Masz szminkę na brodzie. Zrobił się purpurowy.

-Ooo...

- Och, Graham - syknęła zniecierpliwiona Cynthia. - Nieważne. Słuchaj. - Wstrzymała oddech i policzyła w myślach do dziesięciu. - Myślę, że czas już skończyć z tą zabawą w narzeczonych.

- Co? Ale ja...

-Nie bądź taki zaskoczony. Wciąż uganiaasz się za innymi kobietami.

- Mówisz o niej? - Graham wycelował palec w asystentkę, a potem przewrócił oczami i uśmiechnął się. - Daj spokój. Przecież tylko żartowałem.

- Tak, wiem - syknęła. - Znosiłam wszystko ze względu na Alfreda. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się cieszył, że wejdę do jego rodziny. Ale Alfreda niestety już nie ma i nie ma też szans, żebyśmy się pobrali.

- A więc zamierzasz zgarnąć spadek i ulotnić się, tak?  
- W głosie Grahama zabrzmiał nieprzyjemny ton. W tej samej

chwili zadzwoniła jego komórka. - Tu Graham Wingate - powiedział, podnosząc do ucha słuchawkę, a jego głos był teraz słodki jak ulepek.

Cynthia nie miała ochoty przysłuchiwać się rozmowie o interesach i pociągnęła go za rękaw.

- To nie fair. Nie miałam pojęcia, co jest w testamencie. Graham przykrył dłonią słuchawkę.

- Tak, dobrze. Ale czy możemy porozmawiać o tym za chwilę?

- O, nie! - Cynthia wyrwała mu słuchawkę i powiedziała: - Pan Wingate oddzwoni później. Do widzenia. - Wcisnęła guzik telefonu i rozłączyła się.

Graham spojrział na nią tak groźnie jak nigdy dotąd. To spojrzenie z pewnością napędzało strachu jego wspólnikom od interesów.

-To nie jest odpowiedni moment, żeby podejmować ważne decyzje, Cynthia. Poza tym ten dom w świetle prawa w połowie należy do mnie.

-Jeśli się pobierzemy. Ale ktoś musiałby najpierw przystawić mi do głowy pistolet.

-To nieładnie, że jesteś taką egoistką, Cynthia. - Telefon zadzwonił ponownie i Graham w jednej chwili znów stał się czarującym człowiekiem.

-Tu Graham Wingate. Czy może pan chwilę zaczekać? Dziękuję. Oczywiście wiesz, że to zabije moich rodziców - dorzucił, zwracając się do Cynthii. - Oni cię kochają.

Aha. Oni ją kochają. Ani słowa o jego uczuciach. Cynthia zacisnęła zęby. Jakie to typowe.

Spojrzała na Katherine i Harrisona. Właśnie rozmawiali z prawnikiem. Obejmowali się, kołysząc się rytmicznie, ale na ich twarzach widać było jeszcze ślady szoku.

- Kiedyś zrozumieją. - Cynthia przygryzła wargi, wiedząc, jak trudno będzie powiedzieć im, że właśnie zerwała zaręczyny.

- Ta rezydencja to największy skarb Wingate'ów. Od prawie stu lat należy do naszej rodziny. Chcesz nas okraść z naszej przeszłości?

Cynthia spojrzała na niego z oburzeniem. Czy naprawdę zamierzała poślubić tego drania?

- Przepraszam za przerwę - powiedział Graham do słuchawki. - Proszę mówić dalej. - Zmarszczył brwi, spoglądając na zegarek. - Dzisiaj wieczorem? Oczywiście. Boston... Chwileczkę. - Wyciągnął z kieszeni palmtop i szybko przejrzał swój kalendarz. - Dobrze... tak. O której godzinie jest najbliższy samolot?

- Chyba nie zamierzasz znów gdzieś jechać nie wiadomo na jak długo?! Chcesz zostawić mnie samą z tym wszystkim?! - Cynthia poczuła nagle dreszcz na karku. Mężczyzna, którego Katherine zdążyła już jej przedstawić jako drugiego syna, przyglądał się jej z zaciekawieniem z końca sali.

To ten zarozumialec, który docinał jej w czasie odczytywania testamentu.

Spojrzała na niego groźnie, dając mu wzrokiem do zrozumienia, że powinien pilnować własnych interesów. Ale on tylko bezczelnie się uśmiechnął. Jak to możliwe, żeby tacy mili i łagodni ludzie jak Harrson i Katherine mieli dwóch takich aroganckich synów? Graham spodobał się jej od pierwszej chwili i równie szybko znienawidziła Ricka za jego przemądrzały charakter.

Już zdążył ją osądzić. Nie dał szansy, by wytłumaczyła. Na pewno widział w niej chciwą i pazerną jędzę, która chce zagarnąć rodzinny majątek.

Kiedy skrzyżował potężne, wytatuowane ręce na potwornie muskularnej klatce piersiowej i oparł się wąskim

biodrem o ścianę, zaczęła się zastanawiać, czy nie jest przypadkiem adoptowanym synem, bo w niczym nie przypominał pozostałych członków rodziny Wingate'ów. Spojrzała na jasnowłosego Grahama - wysoki, smukły, o ładnych rysach twarzy. Bracia nie byli do siebie podobni. Jeden kulturalny i elegancki, drugi prymitywny i nieokrzesany.

A zasuszone babcie i zgarbieni dziadkowie krążący chwiejnym krokiem po bibliotece, którzy także należeli do rodziny? Wyglądali tak, jakby byle podmuch wiatru mógł przewrócić ich niczym kostki domina.

Jej wzrok znów padł na Ricka. Tak. Na pewno zamieniono go po urodzeniu. Ten chłopak był twardy. Budził lęk. Ciarki przeszły jej po plecach.

Odwróciła się na pięcie i zerknęła na Grahama, który o dziwo wciąż rozprawiał przez telefon o interesach.

- Graham! - krzyknęła. Położył rękę na słuchawce.  
- Daj spokój, Cynthia. Źle się czujesz. Zabraniam ci mówić mojej matce, że zrywasz zaręczyny. Jest tak wrażliwa, że po tym, co przeżyła przez ostatni tydzień, będzie potrzebowała terapii co najmniej przez dwa lata. Zażywa wszystkie tabletki uspokajające, jakie są dostępne w aptekach. Jeśli usłyszysz - dodał, spoglądając groźnie - że moje kolejne zaręczyny skończyły się zerwaniem, na pewno tego nie przeżyje. Nie żartowałem, mówiąc, że to by ją zabiło.

Cynthia zerknęła niespokojnie na Katherine. Bardzo ją lubiła. Ale to prawda. Ta kobieta była uosobieniem delikatności. Chciała oglądać świat przez różowe okulary, bo proza życia była dla niej nie do zniesienia. Niestety, Graham miał rację. To by ją zabiło.

- Świetnie. O zerwaniu powiemy im później. Może po twoim powrocie? Na jak długo wyjeżdżasz?

Graham od razu zadał takie samo pytanie swemu rozmówcy przez telefon.

-Dwa tygodnie będę w Stanach, żeby przygotować papiery do transakcji, i tydzień w Europie. W sumie nie dłużej niż kilka tygodni.

- Kilka tygodni!

Cynthia odwróciła głowę w bok. Rick znów im się przyglądał. Na pewno bawiła go ta rozmowa.

-Nie możesz wyjechać na tak długo! - odparła, zniżając głos. Czuta, że żyły nabrzmiewają jej na szyi.

-Ależ, Cynthia! - Graham uśmiechnął się z pobłażaniem. - Ostatnio przeżyłaś bardzo dużo stresów. Miesiąc rozłąki dobrze nam robi. Przemyślisz wszystko i znów będzie nam ze sobą dobrze.

- Nie, Graham. To ty musisz przemyśleć wszystko. Nie pobierzemy się. Nigdy. Rozumiesz? Nasze zaręczyny są zerwane.

Graham pochylił głowę. Przez chwilę Cynthia zrobiło się go żal. Ciężko mu będzie przyznać się rodzicom, że jego kolejny związek rozpadł się.

-Zobaczymy - powiedział.. -

-Dobrze.

- Rzecz w tym - mówiła Cynthia, nalewając mleko i otwierając paczkę herbatników - że wcale nie chcę tego głupiego domu.

Rzuciła herbatnik psu i patrzyła, jak buldog chwyta go zębami.

Choć była bardzo zmęczona, tej nocy wcale nie mogła zasnąć. Zamiast więc leżeć w łóżku i nieustannie wspominać okropny wieczór u Wingate'ów, postanowiła zająć się swoimi robótkami.

W jej ciasnym jednopokojowym mieszkanku nie było zbyt dużo miejsca, ale Cynthia wcale to nie przeszkadzało. Stosy

kartek z pamiętnika z wakacji leżały na jednym stoliku. Drugi był zawalony świecidełkami, koralikami, obrazkami, tubkami kleju i kawałkami materiałów, z których miały powstać narzuty dla ubogich rodzin. W kącie stała na wpół pomalowana komoda, a na niej leżały poduszki w trakcie haftowania, kawałek taniego materiału przeznaczonego na firanki i wszystko, co niezbędne, żeby przerobić abażur z kolorowego szkła w dzieło dorównujące artystycznym wyrobom od Tiffany'ego.

Cynthia, choć mieszkała sama, uważała, że w jej domu powinien panować przytulny nastrój. Żyła oszczędnie, ale była dumna z tego, że za pomocą puszki farby i własnej pomysłowości umie przemienić znaleźiska z pchlego targu w prawdziwe cuda. Trochę kwiatów, poduszek i świec, i jej obskurna dziupla zmieniała się we wnętrze z kolorowych magazynów. Wyjęła robótkę - malutki żółty sweterek przeznaczony dla dziecka koleżanki - i usiadła przy kuchennym stole.

Odsunęła na bok podręczniki, zaklejone koperty i teczkę dokumentów zawierającą papiery otrzymane od prawnika Alfreda. Błyskając drutami, spoglądała na chrupiącą swoje ciasteczko Rosy. Suka pogryzła je na kawałki i śmiesznie węszyła, szukając na podłodze okruchów. Cynthii zdawało się, że pies się śmieje.

Oczywiście. Ciebie to bawi, a dla mnie to koszmar. To wzruszające, że Alfred był do mnie tak przywiązany, ale obawiam się, że nie przemyślał wszystkiego dokładnie. Chyba jednak wiem, jak z tego wybrnąć.

Rosy słuchała uważnie. Oblizwała się, parsknęła i zamerdała ogonem w oczekiwaniu na następny przysmak.

- Nie ma innego wyjścia - stwierdziła Cynthia, rzucając Rosy drugie ciastko. - Muszę się ukryć. Zmienię nazwisko, adres, zrobię operację plastyczną.



Przesunęła ręką po twarzy i zachichotała.

- Nie? W porządku. Zadzwoń i powiem Katherine, że przeznaczam rezydencję na przytułek. - Podniosła słuchawkę i pomachała nią w powietrzu. - Będę błagać o przebaczenie, a za miesiąc powiem jej, że nie chcę poślubić jej syna. - Westchnęła ciężko. O, nie! Co ten Alfred sobie myślał, szykując mi taką niespodziankę?

Zerwała się z krzesła, strącając ze stołu robótkę i papiery. Gdy pochyliła się, żeby je podnieść, zauważyła kopertę zaadresowaną pismem Alfreda.

- Co to jest? - wymamrotała zaskoczona. Koperta musiała wypaść z teczki, którą dał jej prawnik. Oczy dziewczyny napełniły się łzami. Wyprostowała się i podeszła do rozłożonego na podłodze materaca służącego jej za łóżko. Zapaliła górne światło, po czym usadowiła się wygodnie na kolorowych poduszkach. Rosy wskoczyła na materac i położyła się obok pani, przywierając do jej biodra.

- Alfred - wyszeptała Cynthia, ocierając z policzka łzę. - Ty łobuzie! Co teraz będzie?

Rozerwała kopertę i zaczęła czytać.

Moje drogie dziecko!

Skoro czytasz ten list, można przypuszczać, że mnie już nie ma. Pewnie kruki zleciały się na żer. Domyślam się, że jesteś zaskoczona moim postanowieniem. Mam swoje powody i dlatego musisz mnie wysłuchać, zanim zadzwonisz do Katherine i powiesz jej, że właśnie postanowiłaś oddać dom na przytułek dla bezdomnych.

Cynthia roześmiała się i wytarła rękawem oczy. Jak dobrze ją rozumiał!

Są trzy powody, dla których postanowiłem zostawić ci ten dom.

Po pierwsze: to ja namówiłem cię, żebyś wróciła na studia. Ponieważ nie pozwoliłaś, żebym finansował twoją naukę - co

bardzo szanuję - nalegam, żebyś zgodziła się przyjąć pomoc, jeśli chodzi o mieszkanie i jedzenie. Wiem, że nasza rezydencja jest trochę za duża dla studentki, ale za to jakie można tu urządzać przyjęcia! Możesz też wynająć pokoje studentom. Albo wywoływać skandale wśród stetryczalnych sąsiadów.

Po drugie: zbudowałem ten dom dla mojej ukochanej. Chciałem, żebyśmy zamieszkali w nim całą rodziną. Kiedy to się nie udało z powodów niezależnych od nas, byłem zdruzgotany. Bardzo mi ją przypominasz, moja droga. Nawet nie wyobrażasz sobie jak bardzo. Będę najszczęśliwszy, jeśli zamieszkasz w domu z moich marzeń.

Po trzecie: wiem, że zamierzasz poślubić mojego wnuka. Mam nadzieję, że ten dom będzie posagiem, jakiego Twoja rodzina nie mogła ci ofiarować, i zwiąże Cię z klanem Wingate'ów. Każdy człowiek musi mieć rodzinę, droga Cynthio, a Ty zbyt długo byłaś jej pozbawiona. Kochałem Cię jak rodzoną wnuczkę i jestem pewien, że gdyby małżeństwo z moją wielką miłością doszło do skutku, nasza wnuczka byłaby podobna do Ciebie. Kocham Cię, moja droga, jakbyś należała do mojej rodziny. Sprawiałaś, że ostatnie miesiące mojego życia były dla mnie najszczęśliwszym okresem. Proszę, przyjmij mój dar. Obiecuję, że przyniesie ci szczęście takie samo, jak Ty przyniosłaś mnie.

Twój kochający dziadek, Alfred Wingate

Po twarzy Cynthii popłynęły łzy. Prawie nie знаła własnych dziadków. Jako mała dziewczynka straciła rodziców. Alfred wiedział, jak to boli. Przed laty jego ukochaną zmuszono do poślubienia innego mężczyzny. Często powtarzał, że w ten sposób on także utracił rodzinę.

Och, Alfredzie!

Rosy wspięła się przednimi łapami na biodro Cynthii i polizła panią po twarzy. Potem, sapiąc jej do ucha,

pochrząkiwała ze współczuciem. Cynthia przytuliła psa. Jesteś dla mnie jak siostra, której nigdy nie miałam, pomyślała, a Rosy jakby w podzięcie potarła wilgotnym nosem o jej policzek.

Dziewczyna z rozterką w sercu wpatrywała się w list. Czy powinna zatrzymać dom? Nieoczekiwany dzwonek do drzwi wyrwał ją z rozmyślań. Rosy zaczęła czekać.

Cynthia zawahała się. Kto to mógł być o tej porze? Graham wyjechał, a jej jedyni przyjaciele zostali w Duluth, w Minnesocie, skąd przyjechała, żeby podjąć pracę u Alfreda.

- Kto tam? - Ostrożnie podeszła do drzwi i wyjrzała przez wizjer. Na korytarzu było tak ciemno, że dostrzegła tylko potężną męską sylwetkę.

- To ja, Rick Wingate, brat Grahama. Czy mogę z tobą chwilę porozmawiać?

## ROZDZIAŁ DRUGI

Samotna żarówka oświetlała wilgotny i odrapany korytarz budynku, w którym mieszkała Cynthia. Trudno było odczytać wizytówkę na jej drzwiach. Rick, zanim tu dotarł, szukał jej już w kilku domach. Z sąsiednich mieszkań dobiegał ryk telewizora i wrzask dziecka. Rick nie był pewien, czy Cynthia usłyszała jego głos.

- Rick Wingate - powtórzył. - Twój przyszły szwagier. - Potem zerknął na wizjer, zastanawiając się, czy w ogóle dobrze trafił.

Jakaś matka kłóciła się ze swoim nastoletnim synem. Drzwi trzasnęły tak, że zadźwięczały szyby w oknach. W powietrzu unosił się zapach smażonej ryby, wilgotnego dywanu i mokrej sierści. Rick stał, nasłuchując groźnego szczekania psa i zastanawiał się, czy ta wizyta miała w ogóle jakiś sens.

Ale ciekawość nie dawała mu spokoju od chwili, gdy zauważył, że między bratem a jego narzeczoną dzieje się coś dziwnego.

O co tu chodzi?

Przypuszczał, że odziedziczenie majątku wartego miliony zawróci bratu w głowie. Tymczasem on zaledwie kilka godzin po odczytaniu testamentu wyjechał na cały miesiąc w interesach. To było co najmniej podejrzane.

Rick kilka razy próbował nawiązać rozmowę ze swoją przyszłą bratową, ale za każdym razem Cynthia robiła uniki. Jakby coś ukrywała. Jej sztuczny uśmiech i niewinny wygląd irytowały go. Nie lubił fałszu. Nie podobało mu się to u Grahama, a jeszcze bardziej u jego narzeczonej.

Po powrocie do domu rodziców w ekskluzywnej dzielnicy Seattle próbował wyciągnąć jakieś informacje od matki, ale jak zwykle była zbyt zmęczona, żeby mu w czymkolwiek pomóc. Położyła się do łóżka z zimnym okładem na głowie. Rick, rozglądając się po eleganckim wnętrzu sypialni rodziców, przypominał sobie, w jakich norach mieszkał przez dwa ostatnie lata. Pokręcił głową. Ludzie nawet nie zdają sobie sprawy, jak dobrze im się powodzi.

- Tak się cieszę, że jesteś w domu - powiedziała słabym głosem Katherine, kładąc rękę na jego kolanie. - Dobrze wyglądasz. Może jesteś trochę zaniedbany, ale za to dosłownie tryskasz zdrowiem.

- Chciałbym móc to samo powiedzieć o tobie. - Rick wziął matkę za rękę i zmierzył jej puls. Trochę słaby. Pochylił się i dotknął jej czoła. Chłodne. - Jak się czujesz?

- Jak zwykle jestem zmęczona.

- Co ci przepisał lekarz?

- Środki antydepresyjne i uspokajające. Coś na sen, na ciśnienie i na serce. Nic specjalnego.

Widziała, że Rick nad czymś się zastanawia.

- Kochanie - dodała - czy mógłbyś na chwilę przestać zachowywać się jak lekarz i po prostu ze mną porozmawiać?

Miał ochotę zrobić jej wykład, ale poklepał ją tylko po ręce.

-Oczywiście. Co nowego u ciebie?

-Nic. Opowiedz o sobie. - Zdjęła kompres z czoła i spojrzała na syna z zainteresowaniem. - Spotkałeś jakieś miłe dziewczyny w... Wciąż zapominam, jak się nazywa to miasto, w którym byłeś.

- Punjipur. To właściwie mała wioska w północno - zachodnich Indiach. Na Boże Narodzenie było tam straszne trzęsienie ziemi. Pracowałem w Indiach prawie rok. Przedtem byłem w kilku małych wioskach, o których na pewno nigdy nie słyszałaś, w północno - wschodniej Afryce. Walczyliśmy z niedożywieniem.

Katherine starała się ukryć swoje przerażenie.

-Och. To... dobrze.

-Mhm. To prawda. Ostatnio pracowałem w nowej formacji medycznej, która działa na zachodnim wybrzeżu. Jej sponsorami są organizacje charytatywne z całego świata. Nie miałem czasu na randki. A nawet gdybym miał, wszystkie dziewczyny, które spotykałem, były chore, ciężarne albo ranne i nie mówiły zbyt dobrze po angielsku. Trudno w takiej sytuacji flirtować. - Uśmiechnął się i potarł jej rękę.

- Chyba tak - zgodziła się z przygnębieniem, ale po chwili jej twarz rozpromienił uśmiech. - Nieważne. Za to twój brat zareczył się z cudowną dziewczyną. Nie ustalili jeszcze daty ślubu, ale nie widzę powodu, żeby to teraz odkładać, skoro Cynthia - cień żalu przemknął przez bladą twarz Katherine - odziedziczyła dom Alfreda.

Twarz Ricka stężała.

-Słyszałem o tym.

-Zawsze wiedzieliśmy, że Alfred ją lubi. Nie przypuszczaliśmy tylko, że tak bardzo.

Alfred na pewno ją lubił.

- Pracowała u niego?

- Tak, przez ostatni rok. To Alfred zasugerował, żeby Graham zaprosił ją na randkę. Natychmiast zakochali się w sobie.

Rick skrzywił się. Oczywiście. Zakochali się. Graham w jej figurze, a Cynthia w jego koncie.

- Twój ojciec i ja byliśmy zachwyceni. Graham już tyle razy się zaręczał. Zastanawialiśmy się, czy w ogóle kiedykolwiek się ożeni. - Matka pokręciła głową i spojrzała znacząco na Ricka.

Udał, że nie pojmuje aluzji do jego stanu cywilnego.

- Skąd ona jest?

- Z Minnesoty. Biedactwo nie ma rodziny. Jej rodzice zginęli w pożarze, kiedy była jeszcze mała. Do chwili ukończenia szkoły średniej wychowywała się w rodzinach zastępczych.

Rick przygryzł wargi. To bardzo prawdopodobne. Biedna sierotka bierze na litość starszego człowieka. Spojrzał na matkę z udawanym przerażeniem.

-Pozwalacie, żeby dziewczyna bez wykształcenia i co gorsza bez nazwiska poślubiła waszego syna? Czy to nie szaleństwo?

-Graham tyle razy zrywał zaręczyny z córkami naszych bliskich przyjaciół, że stałam się mniej... wybredna. Poza tym ona jest urocza.

Wszystkie naciągaczki są urocze, dopóki nie obedną kogoś ze skóry, pomyślał Rick.

-No i kształci się. Studiuje.

-Co?

-Języki. Chce zostać tłumaczką.

Cóż, znajomość języków na pewno przyda się jej, kiedy zechce założyć konto w banku szwajcarskim.

- Jak poznała Alfreda?

-Nie wiem. Chyba kiedyś wspomniał, że znał dość dobrze jej dziadków.

-Gdzie mieszka?

- Przy miasteczku uniwersyteckim w dzielnicy Elliott Bay. Dziwne. O ile dobrze pamiętał, ta okolica to prawdziwe getto.

-Graham spotyka się z dziewczyną, która mieszka w Elliott Bay? Naprawdę?

-Tak. Cynthia jest bardzo niezależna. Nie przyjmie od nikogo ani grosza. Sama się utrzymuje. Jest bardzo dumna. Alfred mówił, że pochodzi z bardzo dobrej rodziny, tylko że oni wszyscy już nie żyją.

Katherine potarła głowę. Z pewnością była wykończona. Rick pożegnał się więc i ruszył prosto do Elliott Bay, żeby poszukać odpowiedzi na dręczące go pytania.

Ale teraz, kiedy był na miejscu, patrząc na obskurny korytarz, zaczął mieć wątpliwości.

Co ma jej powiedzieć?

O co spytać?

Po co, do diabła, tu przyszedł?

Rick Wingate?

Cynthia dopiero po chwili zrozumiała, że okropny brat Grahama stoi naprawdę pod jej drzwiami. Co on tu robi?

Zawahała się.

Po chwili doszła do wniosku, że nie może się ukrywać i otworzyła drzwi. Na jego twarzy widniał ten sam drwiący uśmiezek, który widziała podczas odczytywania testamentu.

- Witaj! - Naprawdę miała ochotę zakląć.

-Cześć. Mam nadzieję, że nie przyszedłem za późno?

Za późno na co? Wzruszyła ramionami, nie zachęcając go do wejścia.

- Zaprosisz mnie do środka?

Czy on żartuje? Wolno obrzuciła wzrokiem jego postać. Zmierzwione ciemne włosy, mały kolczyk w lewym uchu, widoczny zarost na brodzie, skórzana kurtka przewieszona przez ramię, czarny obcisły T - shirt, wytarte dżinsy, masywne buty, kask motocyklowy w ręku, tatuaże na potężnych bicepsach. W pierwszej chwili miała ochotę zatrzasać mu drzwi przed nosem. Wyglądał tak, jakby przed chwilą uciekł z więzienia stanowego.

Jedyną rzeczą zasługującą na aprobatę były jego olśniewająco białe, równe zęby. Poza tym przyjemnie pachniał.

Był jednak wnukiem Alfreda i dlatego nie mogła tak po prostu go odprawić. Zawijając mocniej podomkę narzuconą na sprany dres, cofnęła się i otworzyła szerzej drzwi.

- Proszę - wymamrotała.

- Och, dziękuję. - W jego głosie zabrzmiał sarkazm. Oparła się o drzwi i patrzyła, jak Rick ciekawie rozgląda się po mieszkaniu. Jego wzrok wędrował od ślicznie pomalowanej drewnianej szpuli od kabli służącej za stolik do kawy, do wiszących na ścianach plakatów reklamujących sztuki grane na Broadwayu, a w końcu padł na pokryty warstwą poduszek materac, skąd spozierała na niego podejrzliwie Rosy.

- Ładnie tu.

- Dziękuję.

- Długo tu mieszkasz?

- Rok.

- Oo?!

- Dlaczego jesteś taki zdziwiony?

- Myślałem, że dziadek życzył sobie, żebyś mieszkała bliżej.



-Chcesz mnie obrazić?

-Przepraszam. - W jego głosie nie było śladu zmieszania. Przez dłuższą chwilę nie odzywali się. W końcu Cynthia nie wytrzymała.

- Po co przyszedłeś?

- Masz zostać moją bratową. Pomyślałem, że najwyższa pora się poznać.

- Już się poznaliśmy.

- Ale nic o sobie nie wiemy. Może zaproponujesz mi coś do picia?

- Nie.

- W porządku. Mam własne napoje. - Wyminął ją, otworzył drzwi i wziął z korytarza karton, który zostawił tuż za progiem.

Potem zrobił dwa ogromne kroki i postawił karton oszronionych butelek na jej zaimprovizowanym stoliku.

-Napijesz się piwa?

-Nie.

Tak jakby nie słyszał, wyciągnął z kartonu dwie butelki i otworzył je. Patrzyła, jak pije, i pomyślała, że może jednak powinna w jakiś sposób skorzystać z tej nieszczęsnej wizyty. Sięgnęła po butelkę i wypila łyk.

Nieźle, pomyślała, ocierając usta.

Przynajmniej znał się na piwie.

Nie czekając na zachętę, Rick szturchnął Rosy i usiadł na materacu. Pies poruszył się, dokładnie obwąchując gościa. W końcu widocznie uznał, że nieznajomy zasługuje na akceptację i położył łeb na jego kolanach. Parsknął radośnie, gdy Rick podrapał go po opasłym brzuchu.

Paskuda. Cynthia spojrzała gniewnie. Do tej pory Rosy zawsze była jej wierna. Nie dostanie więcej żadnych ciasteczek!

Wzrok Ricka przesunął się po kuchni i padł na dwoje otwartych drzwi. Jedne prowadziły do garderoby wypełnionej po brzegi ubraniami, pościelą, książkami i różnymi drobiazgami. Za drugimi znajdowała się ciasna łazienka. Była tak rozplanowana, że nie można było zamknąć drzwi, kiedy korzystało się z toalety. To dlatego Cynthia nigdy nie zapraszała do siebie gości.

- To kawalerka? - spytał Rick. Skinęła głową.

- Spisz na tym materacu?

Wypiła drugi łyk piwa i znów kiwnęła głową. Rick spojrzał na nią badawczo. Nie podobało się jej to krytyczne spojrzenie. Pewnie uważał ją za jedną z zabawowych dziewczyn Grahama. To nie była prawda, ale Cynthia skuliła się. Chciała, żeby już wyszedł.

- Odziedziczyłeś dom Alfreda. Znieruchomiła, nie wiedząc, co odpowiedzieć. - Mmm, tak.

- Jesteś teraz bogata.

Zmarszczyła brwi. Do czego on zmierza?

- Nie rozumiem, dlaczego to cię interesuje.

- Zawsze interesuję się rodziną.

- Gdzie w takim razie podziewałeś się przez ostatnie dwa lata?

- Byłem zajęty - powiedział obronnym tonem.

- Wtrącaniem się w cudze sprawy?

- Spotkałem wielu takich ludzi jak ty.

- Skoro tyle już o mnie wiesz, to chyba możesz iść do domu.

- Tak szybko? Przecież dopiero co przyszedłem. - Jego ciężkie buty zadudniły, gdy położył nogi na stoliku.

- Siadaj - powiedział, wskazując wiklinowy fotel. - Wyluzuj się. Musimy się lepiej poznać.

Patrzyła, jak jego grdyka porusza się, gdy pociągnął długi łyk piwa. Na pewno szybko stąd nie wyjdzie. Z cmoknięciem

odsunął od ust butelkę. Może powinna zadzwonić na policję? Niestety, policja miała ważniejsze sprawy niż nieoczekiwana wizyta niedoszłego szwagra.

Cynthia zerknęła z ukosa. Ich spojrzenia spotkały się.

Jakim cudem taki zbir zdołał ukończyć medycynę? Nigdy nie powierzyłaby mu nawet samochodu do naprawy, a co dopiero własnego zdrowia.

Ale pewnie nie zdoła się go tak łatwo pozbyć. Posłusznie usiadła w bujanym fotelu, narzucając na ramiona szal.

-A więc uważasz, że mnie znasz?

-O, tak. Znam cię - odparł, celując w nią butelką. - Chcesz wiedzieć, co o tobie myślę? - Rozsiadł się wygodnie, rozkładając ramiona na poduszkach. - Jesteś okropną oportunistką.

-No tak. - Cynthia pociągnęła łyk piwa.

-Zgadzasz się ze mną?

-Mam jakiś wybór?

-Nie.

Skrzyżowała ramiona na piersiach, próbując, pokazać, że wcale się nie przejęła.

-Chcesz wiedzieć, co ja o tobie myślę?

-Nie.

-I tak ci powiem. Jesteś kretyńcem.

-No tak.

Po raz pierwszy uśmiechnęli się do siebie. Cynthia jednak natychmiast się zreflektowała. Rick także.

- Jesteś naciągaczką. - Rick napił się znowu piwa.

- A ty świętoszkowatym łajdakiem. - Nie miała zamiaru zostać mu dłużna.

- Myślisz tylko o pieniądzach.

- Kretyń zgrzywający świętego. Pochylił się ku niej, unosząc palec.

-Wykorzystujesz starych ludzi.

- Nawet nie wiesz, o czym mówisz.

-Przynajmniej nie udaję kogoś, kim nie jestem.

-A ja nie udaję, że wiem coś, o czym nie mam pojęcia.

Nie spuszczała z siebie wzroku, sącząc piwo z butelek.

Cynthia czuła się przyjemnie rozluźniona. To wszystko przez piwo. Nigdy dużo nie piła, więc jedna butelka wystarczyła jej do poprawienia nastroju.

- Chcesz wyjść za mojego brata.

Zawahała się. To nie jego sprawa, że jej narzeczeństwo się rozpadło. Ponieważ nic nie powiedzieli jeszcze rodzicom, postanowiła nie zdradzać mu swoich tajemnic.

-Tak.

-Dlaczego?

Spojrzała na niego wyzywająco.

- Bo... - Zerwała etykietkę z butelki i zgmiotła ją w rękę. - Bo go kocham.

- Jakież to urocze.

Powoli wzbierała w niej furia. Co ten facet sobie wyobraża? Bezczelny arogant!

Miała ochotę zerwać się z fotela i wymierzyć mu policzek. To, że spotykała się z jego bratem, było jej prywatną sprawą!

Jak on śmie insynuować, że nie kocha Grahama. Kiedyś naprawdę go kochała.

Kusiło ją, żeby zadzwonić do eksnarzeczonego i powiedzieć mu, że zmieniła zdanie. Wyjdzie za mego na przekór jego paskudnemu bratu.

Ale w ten sposób ukarałaby siebie, nie Ricka.

Uśmiechnął się, jakby czytał w jej myślach. Nie spuszczając z niej wzroku, otworzył usta i beknął. I ten cham miał ją za nic? Nie mogła pojąć, jak subtelna i delikatna Katherine mogła być matką takiego prostaka.

W osłupieniu patrzyła, jak odchylił do tyłu głowę i rozwalił się na jej materacu niczym lew wygrzewający się na skale. Był leniwy i dziki, co fascynowało ją i przerażało.

- Pewnie niedługo przeprowadzisz się na wzgórze?

- Nie miałam czasu o tym pomyśleć.

- Oczywiście. - Wydał usta z pogardą.

Cynthia skończyła piwo, a potem głośno odstawiła butelkę na stół. Rosy spojrzała na nią i zaszczekała.

- Zawsze jesteś taki miły?

Rosy wysunęła dolną szczękę i przyglądała się mężczyźnie, który tak świetnie umiał drapać po brzuchu.

- Nie - odparł z uśmiechem. - Czasem jestem nie do wytrzymania.

Od wzajemniła uśmiech, ale zaraz się zmitygowała.

- Czego ode mnie chcesz? - spytała. Przyjrzał się jej uważnie.

- Zapraszam cię jutro na kolację.

- Chcesz zjeść ze mną kolację?

- Nie ja, moja matka. Bądź u nich jutro punktualnie o siódmej, bo mama o dziewiątej kładzie się do łóżka.

- Mogę być zajęta. - Wprawdzie nie miała żadnych zajęć, ale dlaczego ten beczelny typ z góry zakładał, że się zgodzi?

- Pracujesz? - Ze zdumienia uniósł brew.

- Oczywiście — parsknęła. - Z czego bym żyła? Jego brew powędrowała jeszcze wyżej.

- Możesz już iść do domu. - Cynthia odrzuciła szal i jednym skokiem znalazła się przy drzwiach. - Wieczorek zapoznawczy właśnie się skończył.

- O! - skrzywił się Rick. - Dopiero zaczynałem się rozkręcać.

- Żegnam! - dodała nieustępliwym tonem, otwierając zdecydowanym ruchem drzwi.

Rick zdjął nogi ze stolika i z łoskotem postawił je na podłodze. Poklepał po łbie Rosy, wziął z materaca kask i podszedł do drzwi. Stał tak blisko, że ciarki przeszły jej po plecach. Czowała zapach jego skórzanej kurtki, spalin i piwa. To było podniecające. Jego muskularna klatka piersiowa z dziwnym wizerunkiem jakiegoś heavymetalowego zespołu falowała tuż przed jej oczami. Pragnęła, by znalazł się już za progiem. Jego niski głos i ciepły oddech wytrącały ją z równowagi.

W mieszkaniu na górze kilku studentów nastawiło muzykę na cały regulator. Jakaś starsza sąsiadka krzyczała, żeby to ściszyli, ale jak zwykle nikt nie zwracał na nią uwagi. W holu był przeciąg i Cynthia żałowała, że zdjęła szal. Chłodne powietrze najwyraźniej nie przeszkadzało Rickowi, ale on przybywał z piekieł niczym prawdziwy demon.

Zbliżył się do niej jeszcze bardziej. Nie cierpiała, kiedy ktoś naruszał jej przestrzeń. Zwłaszcza ktoś nieznajomy. Denerwowała się wtedy, traciła pewność siebie. Spojrzała na niego, usiłując dodać sobie odwagi.

O, Boże, jakie on miał przerażające oczy.

-Kiedy zawiadomisz nas, czy możesz przyjść na kolację?

-Jutro zadzwonię do twojej matki.

- Dobrze. Powiem jej. - Stał w bezruchu, wpatrując się w jej oczy. - Dziękuję za gościnę.

- Więcej nie zapraszam.

Jego usta drgnęły z rozbawienia, a w oczach błysnął jakiś cień sympatii. Chwycił jej ramię i przyciągnął ją jeszcze bliżej.

- Dobranoc, Cynthio. To był bardzo... miły wieczór. Potem pocałował ją szybko w usta i zniknął tak nagle, że nawet nie zdążyła się oburzyć.

Następnego dnia była ciepła i słoneczna sobota. Cynthia waliła pałeczkami w zawieszony na szyi wielki bęben,

wybijając rytm. Trochę zażenowana śpiewała z koleżankami z pracy drugą zwrotkę żartobliwej urodzinowej piosenki.

Wszystkiego najlepszego! Poczęstuj się, kolego! Nie jesteś taki młody, Więc zjedz przynajmniej lody!

Jeszcze jedno uroczne popołudnie w przytulnej starej restauracji „U Pudgiego”.

Cynthia skrzywiła się od tej kociej muzyki i zerknęła na zegar wiszący na ścianie. Ile godzin zostało do końca zmiany? Och, jak tęskniła za pracą u Alfreda. Od dwóch miesięcy, odkąd pogorszyło się jego zdrowie, męczyła się tu, żeby zarobić na życie. Choć przez całą noc myślała o niespodziewanym spadku, nadal nie wiedziała, co ma zrobić. Rano zmusiła się, żeby przyjść do pracy. W tej chwili nie miała innego wyjścia, jeśli nie chciała wylądować na ulicy.

Restauracja mieściła się w odnowionym budynku straży pożarnej. W środku był nawet prawdziwy wóz strażacki, w którym mógł zasiąść szczęśliwy solenizant lub solenizantka. Wszyscy pracownicy - tak jak i ona - mieli na sobie jaskrawoczerwone hełmy strażackie, szelki i kalosze. Na każdej ścianie wisiały strażackie rekwizyty, a w każdym kącie leżały zabytkowe akcesoria. Co piętnaście minut z sufitu opuszczał się ekran i Freddy Strażak tłumaczył dzieciom, co robić, gdy wybuchnie pożar.

Z tyłu znajdowała się sala z automatami, gdzie chmara dzieciaków w ogłuszającym hałasie ścigała się w wirtualnych rajdach samochodowych i uganiała za wojownikami ninja. Z drugiej strony stała witryna wypełniona słodyczami, zabawkami i gramami wideo, które można było kupić na miejscu. Olbrzymi dębowy bar z osiemnastego wieku służył jako lada. Stało na niej tyle sosów do lodów, posypek i różnych dodatków, że można było tworzyć nieskończone kombinacje smakowe.

W trakcie trzeciej zwrotki urodzinowej piosenki Cynthia ledwo uchyliła się od hot doga, garści frytek i pogniecionych serwetek. W ten sposób młodociani goście z dzikim wrzaskiem wyrażali swoją opinię na temat uzdolnień obsługi.

- Hej, tam! Przestańcie! - krzyknął groźnie Trent, kierownik restauracji, próbując opanować sytuację, choć najchętniej zdzieliłby dzieciaki swoim tamburynem.

Tiffany, żująca gumę samotna, młodociana matka i wielbicielka Britney Spears, uderzyła w trójkąt i wyjrzała przez okno.

Josh, nieśmiały matematyk, dmuchnął w tubę i zapatrzył się na koleżankę.

- Chyba nie chcą nas słuchać, Trent - wrzasnęła Cynthia. Największy idiota by to zauważył, ale Trent niełatwo się poddawał. Musiał się starać, bo miał u ojca spory dług za wycyganiony niedawno samochód. Jeśli go nie spłaci, ojciec zabroni mu grać w piłkę, a dla wschodzącej gwiazdy drużyny futbolowej było to nie do pomyślenia.

Spojrzał na Cynthię i potrząsnął tamburynem.

- Sam powiem, kiedy będzie koniec. Niedojedzona bułka odbiła się od jego głowy.

- Wystarczy - rzucił, oddalając się, gdy Cynthia i reszta kończyli się zmagać z trzecią zwrotką.

- Dziękuję. - Cynthia skinęła głową i uśmiechnęła się do chłopców dokazujących w wozie strażackim. Potem z Joshem i Tiffany zaczęli przygotowywać dla wszystkich dzieciaków lody.

- Powiedz mi, Cynthio - Tiffany wypuściła balon z gumy - co z tym bratem twojego narzeczonego? Jest chyba boski.

Boski? Tiffany uważała, że jest boski? Zdaje się, że w jej ustach był to największy komplement. Cynthia przewróciła oczami. To znaczy, że Rick jest w jej typie. Dziki. Lekkomysłny. Czarna owca w rodzinie.



-Jeśli ktoś lubi takich mężczyzn. Nastolatka cmoknęła z zachwytem.

-Ja lubię.

-Czy nie dlatego masz dziś kłopoty? Zawsze wybierasz nieodpowiednich facetów?

-Chyba tak. Ale teraz, odkąd mam dziecko, jestem ostrożniejsza.

-To dlaczego nie spuszczasz oczu z Trenta i ignorujesz Josha? On świetnie się uczy i może będzie następnym Billem Gatesem, a przy tym szaleje za tobą i za twoim synkiem.

-Ale Trent jest boski.

-Josh nie jest gorszy.

Podniosły głowy w chwili, gdy biedny Josh poślizgnął się na rozlanym keczupie i wypuścił z ręki tacę z lodami. Dzieciaki wybuchnęły śmiechem, wołając o bis.

- Daj spokój, Tiffany. Nie wybieraj nieodpowiedniego faceta.

-A ty?

-Ja ze swoim zerwałam.

-Naprawdę? Dlaczego? To niemożliwe. Taki bogaty facet!

-Podrywacz.

Cynthia nakładała lody do miseczek, a Tiffany ozdabiała je gumisiami z wafli. Trent wskoczył za barek. Spryskiwał lody bitą śmietaną i posypywał czekoladą, flirtując nieustannie z Tiffany. Kiedy zamówienie było gotowe, zadzwonił na Josha, by zaniósł lody dzieciom.

Cynthia nie mogła zrozumieć, dlaczego zwierzyła się z sekretu tej małej Tiffany. Czy czuła się aż tak bardzo samotna?

Miała dopiero dwadzieścia cztery lata, a wydawało się jej, że mogłaby być matką tej nastolatki. Cóż, przynajmniej miała z kim porozmawiać.

Tiffany odrzuciła do tyłu jasne włosy o neonoworóżowych końcach i długimi czarnymi paznokciami oderwała gumę do żucia od kolczyka w języku.

- A więc zerwałaś ze swoim kłamczuszkiem. Będziesz się spotykać z jego bratem? Jak on ma na imię?

- Rick. Zwariowałaś?

- Dlaczego nie? Chyba jest w porządku?

- W porządku?

- Taki wolny duch, wiesz? Na luzie. A jego styl... - dodała, wypuszczając kolejny balon z gumy. - Chyba jest podobny do tego faceta - powiedziała, wskazując głową zbliżającego się właśnie do baru mężczyznę.

- Boski - westchnęła, sypiąc czekoladę na podłogę. Cynthia podniosła głowę.

- Rick - wydusiła przez zaciśnięte usta, a krew w niej zawrzała. Co on tu robi?

- Cynthia! - Jego wzrok powędrował w górę. - Ładny kapelusz!

## ROZDZIAŁ TRZECI

-Co tu robisz?

-Czarujące. Czy tak witasz wszystkich klientów?

-Tylko namolnych.

Tiffany wytrzeszczyła oczy, wpatrując się z podziwem w Ricka. Josh próbował opanować pandemonium. Dzieci krzyczały, że chcą lody ze Spidermanem, bo gumisie są dla przedszkolaków.

Trent stał z tyłu z taką miną, jakby miał ochotę rozbić komuś głowę.

- Czy nie powinnaś już kończyć, Tiffany? Chyba że chcesz pracować po godzinach. - Cynthia uśmiechnęła się promiennie do dziewczyny, która spojrzała na nią ze zdumieniem. Po co jej powiedziała, że zerwała z Grahamem? Ta mała na pewno wszystkim rozpapla.

-Żartujesz?! Przecież tu jest zoo!

- Te dzieciaki? Nie. Już dostały lody. To koniec. - Cynthia zaśmiała się bez troski, uciszając dzieci szalejące w kącie sali. - Josh i Trent mają wszystko pod kontrolą. Dam sobie radę sama. Możesz iść.

Rick puścił oko do Tiffany.

-Czy ona zawsze tak tu rządzi? Tiffany uśmiechnęła się.

-Tak.

- Proszę. - Cynthia wsadziła rękę do kieszeni. Zawsze w sobotę oddawała dziewczynie swoje napiwki, bo Tiffany nie starczało na odpowiednie jedzenie dla dziecka. Rick przyglądał się im badawczo. Na pewno myślał, że daje jej narkotyki. Na widok gołego brzucha i ozdobionego kolczykami pępka nastolatki Cynthia pewnie pomyślałaby to samo, gdyby nie знаła prawdy. - Idź już.

-Powinnam wam pomóc.

-Trent nic nie powie. Załatwię to z nim. Idź.

-Dobrze. Jeśli jesteś pewna.

-Tak.

Tiffany powiesiła swój hełm na wieszaku, odbiła kartę zegarową i spojrzawszy jeszcze raz na Ricka, wyszła. Rick skrzyżował ręce na piersiach i oparł się o ladę.

- O co chodzi? - spytał.

- Po co przyszedłeś?

- Wpadłem na mały lunch. Czy to zbrodnia?

- Właśnie tutaj? A to przypadek! - Cynthia wrzuciła łyżki do lodów do wiaderka z wodą i zaczęła zmywać podłogę za barem. Nie uwierzył, że pracuje, więc musiał sprawdzić. Kretyn.

- Nie chodziło tylko o mnie. Matka zastanawia się, czy masz zamiar...

- O rany! - Cynthia puściła mop i klepnęła się dłonią w hełm. - Zapomniałam zadzwonić w sprawie kolacji.

Ryk samochodów na parkingu zagłuszył jej niezręczne przeprosiny. Całe szczęście, bo Rick nie miał ochoty wysłuchiwać steku kłamstw.

Dwa autobusy zaparkowały z warkotem tuż pod oknem.

Widział jej przerażone oczy, gdy drzwi otworzyły się i cały tłum piłkarzy wraz z cheerleaderkami, trenerami i ich przyjaciółmi z krzykiem i śmiechem wtargnął do środka, niosąc na rękach jednego ze sportowców.

- Dwa stoły dla trzydziestu osób. Mamy solenizanta! - zawołał do megafonu zwalisty mężczyzna. Młodzi ludzie z dzikim wrzaskiem zaczęli podrzucać do góry ponad stukilogramowego solenizanta, tak jakby był szmacianą lalką.

Josh i Trent z otwartymi ustami obserwowali przybyły tłum. Sala nagle zrobiła się dziwnie mała. Potężni piłkarze zestawili stoły i krzesła, po czym rozsiedli się wygodnie. Jeden z nich najwyraźniej znał to miejsce, bo od razu włączył przycisk alarmowy i rozległ się przeraźliwy ryk syreny.

- Hej, mała! - Wielkolud z megafonem zeskoczył ze stołu i ruszył w stronę Cynthii. - Seksowny z ciebie strażak. - Chwycił ją w pasie, podniósł i zakręcił w kółko. Potem postawił dziewczynę na podłodze, ale nadal trzymał ją w uścisku. - Chcemy urodzinowej piosenki!

Ręce wielkoluda przesunęły się po biodrach Cynthii. Rick poczuł, że krew uderza mu do głowy. Oczywiście nie obchodziło go, z kim zabawia się Cynthia. Chodzi o zasady, powiedział sobie. Kelnerka nie powinna być narażona na takie incydenty. Nawet taka, która tylko czeka, żeby zagarnąć czyjąś własność.

- Piosenka! Piosenka! Piosenka! - krzyczał tłum piłkarzy.

Cynthia trzepnęła wielkoluda po rękach. Syrena wyła, żyrandole kołysały się, brzęczały szyby w oknach, a dzieciaki wołały, że chcą lodów ze Spidermanem.

Rick patrzył z zaciekawieniem. Czy tak było w każdą sobotę? I ten budynek jeszcze się nie zawalił? Tylko święty wytrzymałby tu dłużej niż pięć minut. W Afryce żył wśród goryli w znacznie bardziej cywilizowanych warunkach. Nagle ogarnął go podziw dla Cynthii. Nie, nie, przecież to tylko gra.

Trent wreszcie oprzytomniał. Podbiegł do baru i zaczął wydawać rozkazy.

- Cynthia! Josh! Tiffany! Łapcie się za instrumenty! Nie uspokoją się, jeśli im nie zaśpiewamy.

- Tiffany już poszła - powiedziała Cynthia, idąc po bęben.

- Co takiego? - Żyły na szyi Trenta nabrzmiały, a na jego czoło wystąpiły kropelki potu. Wydawało się, że Trent zaraz eksploduje. - Kto do diabła pozwolił jej iść do domu?!

Cynthia wyprostowała się, unosząc pałeczkę.

- Ja. Przecież skończyła zmianę. Musiała iść nakarmić dziecko.

Rick powoli przesunął palec po dolnej wardze. Hm. Czasem jednak mówiła prawdę. Podziwiał sposób, w jaki postawiła się wściekłemu szefowi.

-A kto według ciebie będzie grać na trójkącie?

-Cynthia spojrzała z niesmakiem w sufit.

-Obejdzimy się bez trójkąta.

Na szczęście w ogólnym hałasie nie było słyhać steku przekleństw, jakie padły z ust Trenta.

- Wykluczone! - wrzasnął. - Regulamin mówi, że w tej piosence trzeba użyć wszystkich instrumentów! Niech twój chłopak ją zastąpi.

- To nie mój...

- Bez dyskusji! - Wytrzeszczając oczy, rzucił Rickowi hełm i trójkąt. - Wchodzisz na trzy! - wrzasnął.

Rick w ostatniej chwili złapał hełm, wsadził go na głowę i podejrzliwie spojrzał na trójkąt. Ma grać na tym cudacznym instrumencie? I śpiewać? Teraz?

Cała drużyna piłkarzy wskoczyła na stoły, podrzucając do góry solenizanta.

- Piosenka! Piosenka! Piosenka! - krzyczeli.

- Raz, dwa, trzy!

Rick wzruszył ramionami i uderzył w trójkąt. Co tam, i tak nie ma dziś nic lepszego do roboty.

Cynthia przesuwiała kolejną miseczkę z lodami i czuła, jak pot spływa jej po plecach. Rick polewał każdą porcję sosem czekoladowym, wkładał owoce i wafle. Najwyraźniej drżeniem w nim resztki przyzwoitości, pomyślała, wydymając usta. W końcu jako lekarz musiał uchronić Trenta przed zawałem. Biedny chłopak był w panice.

Trent potrząsnął dzwonkiem.

- Dajcie mi dwanaście Wybuchów Wulkanu, szesnaście Niebiańskich Przysmaków, jeden bez orzechów, osiem Życzeń Pudgiego i dziewięć deserów bananowych -

dwa bez sosu ananasowego. I cztery dietetyczne cole. Czy wszystkie Spidermany już wydane?

Nie czekał na odpowiedź, bo solenizant przebił właśnie głową sufit.

- A to drań! - wybuchnął Rick, chwytając się za palec.  
- To cholerstwo jest gorące!

Cynthia spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Pistolet z sosem toffi lubił ostro strzelać, kiedy kompresor wpompował do środka zbyt dużo powietrza. Rick wymamrotał coś pod nosem i przystawił sobie pistolet między oczy.

- Nie rób tak! - Cynthia skoczyła do niego, rzucając łyżkę.

- Możesz się oparzyć! - Wyjęła mu z rąk pistolet. - Patrz, jak to się robi.

Zręcznie polała lody sosem. Rick kiwnął głową i wziął od niej pistolet.

- Już wiem. - Wycelował w lody i zdmuchnął je z miseczki na podłogę.

- Zabiłeś je! - krzyknęła rozzłoszczonym głosem Cynthia.

- Bo płakały w nocy! - zawołał. Potem rzucił pistolet na blat. - Studia medyczne były łatwiejsze niż praca tutaj.

- Wiem. Ale nie mścij się na biednym pistolecie do sosów. Jeśli go zepsujesz, będziemy mieć kłopoty.

- A teraz nie mamy? - stęknął, patrząc na to, co działo się na sali.

- Szkoda, że nie byłeś tu w ostatni dzień lata.

Ujęła pistolet, zaciskając palce na dłoni Ricka. Pewnie niepotrzebnie pociągał spust do góry zamiast w tył. Klasyczny błąd początkujących. Sama też tak kiedyś robiła.

- Widzisz? - spytała, opierając się o jego ramię. Pomogła mu wycelować do pustej miseczki i delikatnie odciągnęła spust. Gorący sos polał się równym strumieniem. - Dobrze - zamruczała. - Mhm. Właśnie tak.

Rick skoncentrował się. Nagle zapomniał o zgiełku na sali. Taki powinien być prawdziwy lekarz, pomyślała. Pewnie dlatego, że przeżył już trzęsienie ziemi. Dobra zaprawa przed pracą tutaj. Powoli puściła jego rękę i odsunęła się. Pistolet charknął.

- Nie, nie! Tutaj. - Chwyciła ponownie jego dłoń w swoje ręce i naląła sosu do miski. - No, teraz ty.

Rick jęknął, bo pistolet znów zacharczał.

- Nie martw się. To się często zdarza. Pewnie wylot jest zatkany. - Uśmiechnęła się uspokajająco.

- Hej! - wrzasnął Trent. Podbiegł do baru i potrząsnął członkiem. - Tu nie ma czasu na zabawy. To możecie robić w domu.

Zabawy? Cynthia zdrętwiała. Ale Rick uśmiechnął się.

- O! - zaprotestował. - Ta praca byłaby strasznie nudna, jeśli nie można by było od czasu do czasu pożartować.

Chwycił Cynthię w pasie i pocałował ją w szyję. Jej ciało zrobiło się tak gorące, że prawie parzyło go w usta. Cmokał i mlaskał, kołysząc ją w jedną i w drugą stronę. Zupełnie bezradna w jego stalowym uścisku zachichotała, widząc absurdalność całej sytuacji. W dodatku jego zarost laskotał ją w szyję.

Trent znów potrząsnął ostrzegawczo dzwonkiem, po czym zniknął, żeby zanieść gościom dwudziestolitrową porcję lodów. Josh bezszelestnie zmiatał z podłogi resztki odłupanego korkowego sufitu.

Cynthia odsunęła się od Ricka. Bała się spojrzeć mu w oczy ze strachu, że się roześmieje. Rick Wirtgate był zabawny. Kiedy tego chciał.

A to, jak podejrzewała, nie zdarzało się zbyt często.

Metalowe nogi brzęczały, gdy Rick przesuwiał stoły i krzesła z powrotem na miejsce. Cynthia nie mogła uwierzyć,



że jeszcze tu był. Co za masochista! A może miał nadzieję, że przyłapie ją na podkradaniu z kasy?

Hałas nagle ustał. Rick, głośno ziewając, położył rękę na plecach, wygiął się i przeciągnął.

- Och! - jęknął, wpatrując się w zegar na ścianie.

- Co się stało? - Cynthia wrzuciła ścierkę do wiadra. Rozczochrana i zmęczona także spojrzała na zegar. Koniec zmiany. Przyjęcie dla dzieci i dla piłkarzy już się skończyło. Rick nauczył się grać na trójkacie i śpiewał urodzinową piosenkę nie gorzej od nich wszystkich.

Teraz przekręcił krzesło i usiadł na nim okrakiem, opierając brodę na poręczy.

- Przyjdiesz dzisiaj na kolację?

- To zależy.

- Od czego?

- Czy ty tam będziesz? Ze zdziwienia uniósł brew.

- Taki miałem zamiar.

- W takim razie będę musiała odmówić.

- Ach, tak? Powiedziałem szczerze, co myślę o decyzji Alfreda, więc teraz będziesz mnie unikać. Hej, przecież wyciągnąłem rękę do zgody. Mogłabyś przynajmniej jej nie odtrącać.

Cynthia prychnęła. Odwróciła się i wzięła do ręki serwetki. Czuła, że Rick uważnie ją obserwował. To prawda, uratował ją dzisiaj od zguby, ale to nie znaczy, że musi spędzać czas w jego towarzystwie.

Drażnił ją.

Czy ma czuć się wobec niego winna? Żartował sobie z nią dzisiaj, bo uważał, że jest łatwa.

Wcale nie musi jeść z nim kolacji. Ma do omówienia różne sprawy z Katherine i Harrisonem, które nie dotyczą ich starszego syna. Spojrzała na jego odbicie w szybie. Wstał i wsunął krzesło za stół.

- W porządku. W takim razie powiem mamie, że przyjdiesz o siódmej. Znajdę sobie inne zajęcie na wieczór.

Rick otworzył drzwi, odchylił się do tyłu na piętach i wsadził ręce w szlufki dżinsów. Z przebiegłym uśmiechem zmierzył Cynthię od stóp do głów.

- Niespodzianka. Skłamałem - wycedził wolno.

Zacisnęła gniewnie usta.

-Wiedziałam, że tak będzie.

-Tak, tak. Ty byś nigdy nie skłamała. Cynthia milczała.

- Czy mogę tu zostać? Chyba nie macie przede mną żadnych sekretów? - spytał.

Minęła go bez słowa. Zdjęła płaszcz i rzuciła nim w Ricka.

-Proszę.

-Dziękuję.

Jej złość rozbawiła go. Tłumiąc śmiech, otworzył drzwi szafy, zwinął płaszcz i wrzucił go do środka.

Cynthia mruknęła z dezaprobatą. Ale kiedy próbował wyrwać jej z rąk paczkę, zrobiła krok do tyłu.

-Czy ktoś mówił ci, że zachowujesz się jak zwierzę? - krzyknęła.

-Kilka razy. Rodzice są w salonie.

Zastukała obcasami w holu, mruczając pod nosem coś o braku dobrego wychowania. Wreszcie mógł się roześmiać. Miała tupet. To trzeba przyznać.

Podążył w ślad za nią.

Cynthia zgrabnie ominęła stół z olbrzymim bukietem jesiennych kwiatów w chińskim wazonie i pewnym krokiem zmierzała wprost do salonu, jakby znała na pamięć rozkład domu.

Katherine i Harrison siedzieli w wygodnych fotelach przed kominkiem, sącząc brandy z kryształowych kieliszków.

- Rick, skarbie, nalej Cynthii drinka - poprosiła Katherine.

Cynthia spojrzała na niego groźnie i uśmiechnęła się do Katherine.

- Nie, dziękuję. Ale przyniosłam coś dla was. - Wręczyła Katherine olbrzymie pudło przewiązane wstążkami.

- Jak to miło! Naprawdę nie musiałaś, kochanie.

- Wiem. Ale chciałam. Nie wiedziałam, jak mogłabym wyrazić współczucie z powodu straty...

Nagle zapadła głucha cisza.

Rick obserwował ją w lustrze nad barkiem. Czy ona myśli, że ten prezent wynagrodzi im utratę domu? Wziął do ręki butelkę wody.

Harrison położył rękę na ramieniu żony. Katherine westchnęła i powiedziała:

-Dziękuję, kochanie. Myślę, że to trochę potrwa, zanim się z tym pogodzimy. Ale to nie szkodzi. Przecież jesteśmy szczęśliwi w naszym małym domku, prawda, skarbie?

- Oczywiście - skinął głową Harrison, przesuwając powoli w ustach niezapaloną jeszcze fajkę.

Katherine znów westchnęła. Cynthia pogładziła ją po ramieniu.

- No tak. Otwórz to - poprosiła z uśmiechem. Katherine wzruszyła ramionami i bez przekonania sięgnęła po paczkę.

- Ojej, jakie ciężkie! - szepnęła.

Harrison pochylił się do przodu, patrząc, jak żona wyciąga z pudełka bogato zdobiony domek dla ptaków.

- No, no. A to dopiero - wymamrotał z podziwem.

- Uroczy! - Katherine uniosła domek, żeby wszyscy mogli go podziwiać.

- Sama zrobiłam - wyznała Cynthia z zażenowaniem.

- Zrobiłaś?! Słyszysz, kochanie? - Katherine z wysiłkiem podała budkę mężowi, który postawił ją na kolanach. - To jej dzieło!

- Mhm. - Harrison nadal obracał w ustach fajkę. - To nie domek dla ptaków, to prawdziwa rezydencja.

Wszyscy zachichotali.

Rick stanął za matką.

Cynthia zrobiła to sama? Niemożliwe. To prawdziwe dzieło sztuki. Podniósł butelkę do ust i nagle zastanowił go jeden dziwny szczegół. Kiedy miała czas - nie mówiąc o umiejętnościach i narzędziach - żeby zrobić coś takiego, jeśli naprawdę studiowała? I jeszcze ta zwariowana praca? W uszach wciąż huczała mu urodzinowa piosenka.

Czy ma ich za idiotów?

- Robiłam to przez kilka tygodni, bo musiałam wycinać ręcznie wszystkie gonty i słupki. Pomyślałam, że ta budka będzie ładnie wyglądać w waszym ogrodzie.

Rick parsknął.

Cynthia ściągnęła brwi i spojrzała na niego karcącym wzrokiem. Potem odwróciła głowę, wciągnęła głęboko powietrze i uśmiechnęła się do Harrisona.

- Wstawiłam do środka małe mebelki, ale jest jeszcze dużo miejsca na gniazdo. Widzicie tę małą chorągiewkę na kopule? I werandę z przodu domku otoczoną płotem?

- To zbyt ładne, żeby stało na dworze - stwierdziła z zachwytem Katherine.

Cynthia uśmiechnęła się wstydliwie.

- Jesteście mi bliscy jak prawdziwi rodzice...

Rick zakrztusił się wodą.

Cynthia wyprostowała się, nie zwracając uwagi na odgłos gwałtownego kaszlu.

- Podobno moja matka kochała ptaki. A tata miał zdolności do majsterkowania. Budował dla mamy przepiękne,

małe domki. Zachowałam jeden na pamiątkę. Stoi teraz u mnie na lodówce.

- Nic ci nie jest, skarbie? - Katherine odwróciła się w stronę kaszlącego syna.

- Wszystko w porządku. - Rick otarł rękawem oczy. Ale sprytna bestia. Wykorzystuje naiwność matki, żeby opowiadać jej wzruszające historyjki o ptaszkach.

- Wiem, gdzie powiesić ten domek, kochanie! Panie z Towarzystwa Ornitologicznego będą zachwycone. Zaniosę im go w poniedziałek.

Katherine zadzwoniła na służącą i kazała zabrać domek, który Cynthia strugała pracowicie przez cały miesiąc.

Rick oparł się o bar, studiując twarze dwóch kobiet - promiennej Katherine i przygnębionej przez chwilę Cynthii. Była taka zawiedziona, że matka nie zatrzyma jej prezentu.

Udawała entuzjazm dla propozycji Katherine, ale Rick widział, że naprawdę bardzo ją to zabolowało.

Poczuł dla niej cień sympatii, przypominając sobie podobne chwile z dzieciństwa. Do tej pory było mu przykro z powodu bezmyślnych zachowań matki.

Ale nie powinien tak się tym przejmować. Cynthia była oszustką, a matka bujała w obłokach. Dlaczego miałby się o nie martwić?

Ale się martwił.

Co gorsza, Cynthia zaimponowała mu, gdy zobaczył, jak ciężko pracuje w restauracji.

Uniósł ręce i przeciągnął się. Wciąż bolała go szyja i plecy. Na rękach miał oparzenia od pistoletu z gorącym sosem. Bolały go nogi. Zmełł w ustach przekleństwo.

Ten bar to piekło.

Był zupełnie wyczerpany, a przecież nie musiał jeszcze dzisiaj odrabiać prac domowych. Josh powiedział mu, że razem z Cynthią chodzi na kursy językowe i jutro z samego

rana mają test. Wspomniał też, że zawsze była ulubienicą profesora. Tak samo jak Alfreda.

Rick niedostrzegalnie pokręcił głową. Jak pogodzić jego podejrzenia z faktami?

Coś tu się nie zgadzało.

Na razie.

Musi obserwować ją dalej. Powinien dowiedzieć się czegoś o jej związku z Grahamem. Była taka zmieszana, kiedy spytał, dlaczego chce za niego wyjść. W tym tkwił jakiś sekret.

Doskonale. Postara się rozwiązać tę zagadkę.

Jadalnia Wingate'ów była wzorem stylu właściwego dla klas wyższych: ściany do połowy pokryte boazerią z wiśniowego drzewa, wyżej obite delikatną cielejącą skórą. Nad stołem dwa kandelabry pokryte czarnymi kryształkami z Austrii, migoczącymi w świetle świec, i bukiet świeżo ściętych tropikalnych kwiatów na środku stołu.

Dwóch służących bezszelestnie uwijało się przy stole. Do kieliszków nalano po odrobinie stuletniego wina.

Jedzenie miało boski zapach, a każdy talerz wyglądał jak dzieło sztuki.

Jednak kiedy przyniesiono główne danie - medaliony wołowe w delikatnym ciemnym sosie z francuskiego wina i świeże warzywa duszone na parze - Cynthia nie mogła nic przełknąć.

Czuła się jak na przesłuchaniu. Rick zasypywał ją gradem pytań. Pyszne jedzenie zatykało usta jak wata, której nie sposób było przeżuć.

Za to Rick jadł z apetytem. Pochłaniał wszystkiego po dwie porcje i jeszcze rozglądał się za następną dokładką. Widać było, że nie przejmuje się sztuką uprzejmej konwersacji, gdy kierując w stronę Cynthii widelec, zadawał pytania, nie przestając przy tym jeść.

-A więc zaczęłaś studiować? Dlaczego? Cynthia otarła kąciki ust lnianą serwetką.

-Ja...

-Skąd jesteś?

-Z...

- Zaczekaj. Powiedz, jak poznałaś mojego dziadka? To on przedstawił ci Grahama, tak? Jak udało ci się usidlić mojego brata? Wszyscy wiemy, że jego nigdy nie ciągnęło do małżeństwa.

Katherine odchrząknęła, ale Rick nie zwrócił uwagi na to delikatne ostrzeżenie i z zapalem kontynuował przesłuchanie.

-Po co ci tyle języków? Gdzie zamierzasz wyjechać? Chyba nie planujesz opuścić kraju? Zwłaszcza bez mojego brata. Czy ty i Graham często rozstajecie się na tak długo? Gdzie on teraz w ogóle jest?

-O Boże! - wtrąciła się w końcu Katherine. - Rick, kochanie, zamęczysz Cynthię swoimi pytaniami.

Cynthia podejrzewała, że o to właśnie mu chodziło, bo dziwny uśmiezek wypełził na jego twarz.

Ze wzruszeniem ramion opuścił widelec skierowany oskarżycielsko w jej stronę.

- Przepraszam. - Wprawdzie w jego głosie nie było ani śladu skruchy, ale zamilkł. Niestety, to było jeszcze gorsze, bo nadal świdrował ją ciemnymi, wszystkowidzącymi oczami. Jego uniesiona brew prawie krzyczała: „Nie dam ci spokoju”.

Nagle ogarnęła ją panika. Czy wiedział, że zerwała z Grahamem? Nie. Skąd mógłby wiedzieć? Chyba że podsłuchał ich rozmowę.

Unikając jego wzroku, przyglądała się obrazom olejnym zawieszonym na ścianie za jego plecami. Sztuka to neutralny temat. Może porozmawia z Katherine o malarstwie? Te piękne malowidła to chyba oryginały. W ozdobnych pozłaczanych

ramach wyglądały jak z muzeum. Cynthia spojrzała na kobietę o rubensowskich kształtach trzymającą na kolanach cherubina.

- Ten obraz jest śliczny. Kto go namalował? Rick pochylił się do przodu.

- Interesujesz się malarstwem? Tego Cynthia już nie wytrzymała.

- Och, na miłość... - krzyknęła.

Na szczęście w tej chwili do jadalni weszła służba, żeby posprzątać ze stołu. Czując, że napięcie między Rickiem i Cynthia rośnie, Katherine zaproponowała, żeby przeszli do salonu porozmawiać przy deserze.

Może to obżarstwo wreszcie mu zaszkodzi. Cynthia wstała, zostawiając serwetkę na krześle. Idąc za Katherine i Harrisonem, miała wrażenie, że Rick pilnuje jej jak policjant eskortujący więźnia.

- Daj mi spokój! - syknęła.

Usiadł obok niej na dwuosobowej sofie dla zakochanych, naruszając w irytujący sposób jej przestrzeń.

- To ty daj spokój. Cynthia parsknęła ze złości.

Rick przysiadł na skraju środkowej poduszki. Jego łokieć wbił się w jej ramię, a jego udo dotykało jej nogi. Próbowwała się odsunąć, ale poręcz sofy uniemożliwiała ucieczkę. Czowała ciepło bijące od jego ciała i zapach jego oddechu.

Był potężny i muskularny i przyjemnie było się o niego oprzeć. Miał miękkie i gładkie ramiona, choć mięśnie na rękach wyglądały jak ze stali. Wyobraziła sobie, jak dobrze byłoby usiąść przy nim w zimowy wieczór. Byłoby tak ciepło...

Ale nie dzisiaj.

Była pewna, że Rick podejrzewa ją o jakąś straszną rzecz. Trudno, musi to wytrzymać, dopóki mu nie przejdzie. Postawiła kawę na stoliku i przesunęła się bardziej do poręczy. Niestety, Rick zrobił to samo, przygniatając przy tym



jej spódnicę. Gdy próbowała się wyswobodzić, uśmiechnął się szeroko.

Katherine i Harrison usiedli naprzeciwko, na drugiej sofie. Trzymając się za ręce, uśmiechali się do siebie. Katherine oparła głowę na szczupłej piersi męża i popijając kawę, wpatrywała się w kominek. Wyglądali czarująco. Dym z fajki krążył nad ich głowami, nasuwając Cynthii skojarzenia z malarstwem Normana Rockwella.

- Są cudowni, prawda? - szepnął Rick.

Kiwnęła głową, Tak było. Zazdrościła im tego wiecznego uczucia. Szkoda, że coś takiego jej nigdy nie spotka.

No cóż.

I tak powinna dziękować losowi. Ma przyjaciół, studia, pracę, dach nad głową i Rosy. Oparła się wygodnie, nie zwracając uwagi na to, że Rick położył rękę za jej plecami.

Służący podał deser i wyszedł. Zegar na kominku wybił pełną godzinę. Ogień trawił kłodę drewna z wesołym strzelaniem i posykiwaniem. Widelczyki do ciasta brzęczały na kruchej porcelanie.

Jedzenie sprawiało Cynthii niemały kłopot, bo Rick uwięził ją w rogu malutkiej sofy. Ledwie mogła poruszać ręką. Musiała schylać głowę i manewrować widelcem, żeby trafić do ust.

Rick jakby tego nie zauważał.

Kiedy w końcu Katherine odstawiła prawie nietknięty talerzyk, cisza się skończyła.

- Muszę położyć się nieco wcześniej. Jutro mam ciężki dzień. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Będziemy rozpakowywać rzeczy, bo przecież nie przeprowadzamy się na wzgórze.

Rumieniec upokorzenia oblał policzki Cynthii.

-Tak mi przykro.

- Przecież wiemy, że to nie twoja wina, Cynthia - powiedział Harrison, przypalając fajkę.

- Oczywiście, że nie. - Katherine oparła się o pierś męża. - To naprawdę nie twoja wina, kochanie.

- Pewnie, że nie. Mój ojciec był nieobliczalnym człowiekiem. Powinniśmy to przewidzieć.. - Kłęby aromatycznego dymu zakręciły się w powietrzu.

Katherine niespokojnie skinęła głową.

- Tak naprawdę to wcale nie chcieliśmy się przeprowadzać. Tu jest tak miło. Choć ostatnio sprowadziło się tu trochę hałaśliwych sąsiadów. Ale Alfred nie mógł tego przewidzieć.

- Nie, tata na pewno tego nie przewidział.

Cynthia poruszyła się niespokojnie. Czowała, że Rick z zainteresowaniem obserwuje każdą jej reakcję.

- W każdym razie zaprosiliśmy cię dziś dlatego - ciągnął Harrison - że chcieliśmy porozmawiać o twoim spadku. Po dokładnym przemyśleniu wszystkiego doszliśmy do wniosku, że Alfred miał rację, przekazując ci ten dom.

- Tak naprawdę, tato, dziadek zapisał dom tylko Cynthia - sprostował Rick.

- Wszystko jedno. - Katherine przysłoniła ręką oczy i wzięła kilka głębokich oddechów. - To bardzo dobrze, że odziedziczyłaś ten dom, kochanie. Pora już, żeby Graham w końcu hm... ustatkował się. Mam nadzieję, że ten fakt skłoni go do szybkiego zawarcia małżeństwa.

Harrison zachichotał.

Rick skrzywił się z niesmakiem.

Cynthia otworzyła usta, żeby zaprotestować.

- Och, nie...

Katherine nie dała jej dokończyć.

- A skoro już o tym mówimy - uniosła wzrok na Cynthię i uśmiechnęła się - może powinniśmy porozmawiać o waszym ślubie.

- Ale....

Harrison zerknął na żonę zza grubych okularów.

- Czy to możliwe, że oczy ci rozbłysły, skarbie? Katherine z ożywieniem uniosła się z sofy, rozglądając się wokół.

- Mam wrażenie, że ten pokój byłby znakomity na wesele. Nareszcie jakieś miłe wydarzenie w tych raczej ponurych dniach.

Cynthia wiedziała, że Katherine ma na myśli zarówno utratę domu, jak i śmierć Alfreda.

- Och! - jęknęła zachrypłym głosem. - A Graham? Czy nie powinniśmy go zapytać?

Katherine zachichotała.

- Jeśli zaczniemy go pytać, nigdy nic nie zrobimy. Poza tym nie ma na co czekać. Prawda, Harrison? - Usiadła prosto, nie opierając się już o męża. - Myślę, że możemy od razu zaplanować ślub na dwudziestego trzeciego grudnia. Przed świętami wszyscy są zawsze w domu.

Przed świętami? Może Katherine myśli o świętach wielkanocnych, bo Boże Narodzenie będzie już za trzy tygodnie.

- Już to widzę. - Katherine położyła dłonie na policzkach.

-Białe gołębie. Łabędzie w stawie. Powóz z końmi. Fontanna z kolorowymi światłami. O Boże! To będzie ślub jak z bajki.

- Jej głos unosił się coraz wyżej. - Najlepiej urządzić w domu małe przyjęcie dla rodziny i paru najbliższych przyjaciół. Potem pojedziemy wszyscy do Alfreda, to znaczy -

poprawiła się z zakłopotaniem - do ciebie na wielkie przyjęcie. Zaprosimy wszystkich znajomych.

- To rozumiem - zamruczał z aprobatą Harrison. Przeżona Cynthia przeprosiła wszystkich i wyszła z pokoju szybkim krokiem.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Cynthia stała w łazience i przyglądała się swemu odbiciu w lustrze, a lodowata woda spływała na jej nadgarstki. To zdumiewające, że wyglądała tak spokojnie, choć w środku czuła przerażenie i panikę.

Katherine zaczęła planować jej ślub z Grahamem.

Białe gołębie, łabędzie, powóz. O Boże!

Poczuta ucisk w gardle i zakręciło się jej w głowie. Przez szum wody słyszała opętańcze bicie serca. Bała się, że zaraz zemdleje i ten okropny doktor Rick znajdzie ją w toalecie.

Nie.

Musi się pozbierać. Nabrała wody w ręce i opryskała twarz. Przycisnęła do rozpalonych policzków puszysty ręcznik z monogramem i próbowała uspokoić oddech.

Musi pomyśleć.

Nie może pozwolić, żeby Katherine zaczęła planować wesele. Wraz z Harrisonem gotowi byli wydać fortunę na uroczystość, która nigdy nie dojdzie do skutku. Mieliby wtedy jeszcze więcej powodów, by ją znienawidzić. Serce podskoczyło jej do gardła.

Musi skontaktować się z Grahamem.

Zaraz.

Dlaczego nie pomyślała o tym, żeby wziąć od niego telefon kontaktowy przed wyjazdem do Bostonu. Wczoraj wieczorem,

kiedy Rick już poszedł, bez przerwy dzwoniła na komórkę, ale automat odpowiadał, że abonent jest niedostępny.

Cóż, Graham mógł wyłączyć telefon i korzystać ze służbowej komórki albo był zajęty. Tak czy inaczej, dodzwoni się do niego najwcześniej w poniedziałek. Dopiero wtedy będzie mogła poprosić o numer jego telefonu w biurze.

Jak mogła nie pomyśleć o tym wcześniej?

Ale była tak zdenerwowana przed jego wyjazdem. Powoli złożyła ręcznik i odłożyła go na półkę. Dziwnie wyglądałoby, gdyby teraz poprosiła Harrisona o ten numer. Zakochana narzeczona powinna być w ciągłym kontakcie ze swoim ukochanym. Mocno zakręciła porcelanowy kurek - żałując, że to nie głowa Grahama - i zastanawiała się, czy pomyślał, żeby zostawić numer telefonu swoim rodzicom.

Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że jeśli tak, znajdzie go w gabinecie Harrisona naprzeciwko łazienki. Tak. To jest pomysł. Znajdzie sama ten telefon.

Otworzyła cicho drzwi i rozejrzawszy się w obie strony, wyszła do pustego holu. Z salonu dobiegał gwar ożywionej rozmowy. I tak już za długo była nieobecna.

Spojrzała na zegarek.

Dobrze... Jeśli się pospieszy, zdąży jeszcze wślizgnąć się do gabinetu i przejrzeć notes Harrisona. Weźmie numer i wróci, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Przy odrobinie szczęścia porozmawia z Grahamem jeszcze dziś wieczorem.

O ile do tej pory nie zwariuje.

Z sercem walącym jak młot, na palcach weszła do pokoju Harrisona. Z przerażenia dostała gęsiej skórki. Zrobiło się jej czarno przed oczami. Czy ktoś jej nie zobaczy? Najwyraźniej nie miała takiej odwagi jak słynna Mata Hari.

Wiedziała, że służba po kolacji opuściła dom, ale na wszelki wypadek wołała być ostrożna.

Na razie w porządku.

Zapalona lampa rzuciła promień światła na biurko, oświetlając wielki notes. Bingo!

Nagle Cynthia zawahała się.

To jednak prywatna własność. No to co? To bardzo ważne!

Podeszła do biurka i chwyciła kołnотatnik za grzbiet. Zbyt mocno. Posypały się kartki.

- A niech to! - Zamarła, nasłuchując.

W porządku. Wciąż rozmawiają. Jak to dobrze!

Uklęła na podłodze i zaczęła szybko zgarniać kartki. Zaraz ktoś może zacząć się zastanawiać, dlaczego tak długo nie wraca z łazienki.

H, I, J, K, N, nie... Norton, Naughton będzie pierwszy. ABCDEFG... Śpiewała pod nosem piosenkę o alfabecie, próbując ułożyć w kolejności strony. Kropelki potu wystąpiły jej na czoło. To się nigdy nie skończy. Przekartkowała cały plik, szukając telefonu Grahama. Winston, Williams, Winters... nie. Dobrze, może będzie pod „G”.

Z każdą sekundą Rick robił się coraz bardziej podejrzliwy. Miała już przecież dość czasu, żeby przypudrować nos i zrobić wszystko, co trzeba. Gdzie ona jest? Co knuje? Przestał słuchać, co mówi matka. Gdy zadała mu pytanie, nie potrafił odpowiedzieć.

- Co o tym sądzisz, Rick? Rick? Kochanie?

- Przepraszam, mamó. Zamyśliłem się. Czy mogę was na chwilę przeprosić? Zaraz wrócę.

- Oczywiście, kochanie.

Pomachała mu ręką, zasypując teraz pytaniami biednego Harrisona. Rick wyszedł do holu. Cynthia powiedziała, że idzie do łazienki, ale wątpił, czy zastanie ją tam po tak długim czasie.

Chyba że się rozchorowała. Powie, że bał się, czy przypadkiem nie zasłabła. W końcu jest lekarzem.

Stąpił bezszelestnie i nasłuchiwał. Na dworze trzasnęły drzwi samochodu sąsiadów i zawarczał silnik, W oddali zaszczeakał pies. Było cicho, jak na sobotni wieczór.

Rick zatrzymał się pod drzwiami łazienki. Ani szmeru. Ale nagle...

Ruszył dalej i stanął przed drzwiami gabinetu ojca. Szósty zmysł kazał mu się zatrzymać. Cichy szelest papierów i

odgłos wysuwanej szuflady. Znow szelest, a potem odgłos otwieranego kołnotatnika.

I cichy śpiew.

Piosenka o alfabecie?

Kto oprócz Cynthii mógł być o tej porze w gabinecie ojca?  
Służba już wyszła.

Zajrzał przez szparę w drzwiach.

Serce zabiło mu dziwnie.

Tak jak podejrzewał.

Cynthia szperała w biurku ojca. Przecież domyślał się, że jest oszustką.

- Cześć! - wyrwało mu się pogardliwie z ust.

Poderwała się zmieszana. Przyłapał ją na gorącym uczynku.

- Cześć!

Widział, jak w swej ślicznej główce próbuje wymyślić powód, który by ją usprawiedliwił.

- Szukałam miętówek. - Schowała plik kartek z kołnotatnika do szuflady i uśmiechnęła się.

- Miętówek? A po co? Twój narzeczony wyjechał, a nam jest wszystko jedno, jak ci pachnie z ust. - Wykrzywił pogardliwie wargi, podchodząc do biurka.

Cynthia starała się opanować, ale oddech miała niespokojny. Rick musiał przyznać, że była odważna. I potrafiła szybko myśleć. Miętówki! To niezbyt oryginalna wymówka, ale przynajmniej nie poddała się.

Przełknęła ślinę.

-Pomyślałam, że po tej kawie.

-Daj spokój! Jesteśmy rodziną. Wyrozumiałą. Kochającą.  
- Leniwym krokiem zbliżył się, stając tuż za jej plecami.

Zachwiała się, cofnęła i nagle usiadła. Uśmiechnął się. Naprawdę nie znosiła, kiedy ktoś naruszał jej przestrzeń.



-Przecież nie będziesz się z nikim całowała. Przynajmniej tak mi się wydaje.

-Oczywiście! Oczywiście, że nie!

-Mhm. - Jakże ona ma oczy! Jak błękitne opale. Jasne i świejące. Spojrzał na jej usta. - Właśnie.

Założyła za ucho kosmyk włosów.

- O co ci właściwie chodzi?

Dobre pytanie. Trochę zawróciła mu w głowie i sam nie wiedział, dlaczego wciąż ją prowokował.

- Mówię ci, że nie potrzebujesz miętówek. Chyba że masz zamiar pocałować mnie po bratersku w policzek, kiedy będziemy się żegnać. Wiesz, jak to jest w rodzinie.

Ich twarze znajdowały się teraz w odległości dziesięciu centymetrów od siebie. Cynthia musiała oprzeć dłonie na biurku

Harrisona, żeby się wyprostować. Rick położył ręce tuż obok i pochylił się, przygważdżając ją do krzesła.

Zapadła cisza. Przez sekundę patrzyli sobie prosto w oczy. Wyzywająco. Każde z nich starało się odgadnąć, co myśli przeciwnik. Deszcz bębnił w parapet i wylewał się strumieniem z rynny tuż za oknem. Gałązki konarów drapały o szyby.

Dreszcz przeszedł jej po plecach.

Rick nieoczekiwanie przysunął usta do jej warg, udając, że sprawdza zapach.

-Mmm. Pachniesz tak wspaniale, że można cię pocałować bez miętówki.

-Nie, nie - zaprotestowała słabo i nagle zapragnęła z całego serca, żeby ten brutal ją pocałował. Mocno. Tak jak nigdy nie całowała się z Grahamem, choć marzyła o tym przez, całe życie. Tak, by miała potargane włosy i rozmazaną szminkę. Żeby policzki paliły ją od kłującego zarostu na jego brodzie. By jego pocałunek doprowadził ją do szaleństwa.

Musiała walczyć z sobą, żeby nie pochylić się do przodu i nie spróbować smaku jego ust.

Na miłość boską, przecież to brat Grahama! I patrzy na nią tak, jakby szukała złota w biurku jego ojca. To dlaczego, do diabła, jest tak podniecona?

-Myślę, że Graham nie miałby nic przeciwko temu, gdybyś chciała mnie pocałować na dobranoc.

-Wcale nie chcę!

-W końcu jesteśmy prawie rodziną.

-Nie...

-Nie?

-Nie! To znaczy tak, ale... ja... nie chciałam... żebyś mnie całował. - Zamknęła oczy, by uniknąć jego wzroku i próbowała zmusić go, by ją puścił, a to nie było łatwe, zwłaszcza że tak naprawdę wcale tego nie chciała.

Ale jemu chodziło o coś zupełnie innego. Zamierzał ją ukarać. Chciał udowodnić pocałunkiem, że nie zależy jej na Grahamie, tylko na pieniądzach.

Nie. Nie mogła pozwolić, by ją pocałował. W żadnym wypadku.

- Cynthia? Kochanie? Hm. - Z salonu dobiegł drżący głos Katherine. - Harrison, skarbie, może ona zabłądziła. Idź jej poszukać. Przy okazji przynieś z gabinetu mój kalendarz i coś do pisania.

Oboje zamarli na dźwięk kroków Harrisona.

- A więc później. - Rick potarł nosem o jej nos i zrobił krok do tyłu właśnie w chwili, gdy Harrison wszedł do pokoju. Na ich widok uśmiechnął się szeroko. Wydawało się, że nie zauważył, jak między synem i przyszłą synową przelatują iskry.

- Och, tu jesteście, dzieci. Mama was szuka. Chce omówić ważne plany. - Drobne zmarszczki pojawiły się w kącikach jego oczu. Wypuścił dym z fajki i zamyślił się. - Wydaje mi

się, że jest trochę ożywiona. Po raz pierwszy od czasu choroby ojca. Ten ślub będzie dla niej wspaniałą terapią. - Zaśmiał się i skinął ręką, żeby poszli za nim.

- Chodźcie do salonu - zawołał przez ramię. - Mama organizuje burzę mózgow, a ja jestem z tego powodu niezmiernie szczęśliwy.

Cynthia spuściła głowę i powlokła się za Harrisonem.

Rick patrzył, jak się oddalają. Zamierzał pójść za nimi dopiero wtedy, gdy spadnie mu ciśnienie. Szumiało mu w głowie, a serce biło w przyspieszonym rytmie. Co się dzieje, na litość boską? Przejechał ręką po twarzy i zaklął pod nosem.

Omiał jej nie pocałował.

Przez chwilę nie pragnął niczego więcej, niż zatonać w tropikalnym błękitnie jej oczu. poczuć smak jej ust. O czym od do diabła myśli? Przecież to oszustka! Zepsuta do szpiku kości. Choć podejrzewał, że związek Grahama i Cynthii był zwykłym układem dla zysku, wstyd mu było, że zniżył się do ich poziomu. Nawet gdyby ten pocałunek mógł zdemaskować zamiary Cynthii.

Oparł się o marmurową kolumnę podtrzymującą pierwszy łuk prowadzący do salonu. Kamień za plecami przyjemnie chłodził rozpalone ciało. Rick skrzyżował ręce i nogi i przez chwilę wpatrywał się w idylliczny obrazek. Chyba żadne lekarstwo nie zaróżowiłoby tak policzków matki i nie napęłniłoby jej oczu taką radością. Kle tylko Katherine lubiła towarzystwo Cynthii. Harrison też uśmiechał się do niej promiennie.

Rick zastanawiał się, czemu i jego tak pociąga ta dziewczyna. Może za długo był sam. Ze smutkiem potrząsnął głową. Jest z nim naprawdę źle, skoro niewierna narzeczona brata tak na niego działa. Tak. Już czas odkurzyć czarny notesik z telefonami dawnych dziewczyn. Tych, które nie wyszły jeszcze za mąż. I nie są nudziarami.

Udręczona Cynthia podniosła głowę znad ważącego półtora kilograma magazynu „Ślubne Suknie”. Rick bardzo długo stał przed drzwiami, zanim wszedł do pokoju. Wiedziała, że ją obserwuje.

To było dość denerwujące, ale kiedy w końcu usiadł obok niej na sofie dla zakochanych, zrobiło się jeszcze gorzej. Rozparł się leniwie, nie spuszczając wzroku z jej twarzy. Szyi. Ust. Oczu.

Nie mogła się skoncentrować na tym, co mówi Katherine.

Uważał ją za złodziejkę. Myślał, że w gabinecie Harrisona przyłapał ją na gorącym uczynku. Przecież nie wiedział, jak naprawdę było. Wszedł w chwili, gdy właśnie odkryła przylepioną do notesu karteczkę z numerem telefonu Grahama w Bostonie. Zdołała zapamiętać tylko pięć z siedmiu cyfr.

Nie wdając się w obliczenia, pomyślała, że przy odrobinie szczęścia, jeśli wykona parę tysięcy prób, może uda się jej dodzwonić do Grahama.

Spojrzała z wyrzutem na Ricka, a on jeszcze bardziej przysunął się do jej boku.

-Przepraszam.

-Nie szkodzi. - Oparł się o nią jeszcze mocniej. Próbując go zignorować, wpatrzyła się w Katherine. Ona naprawdę przejęła się ślubem. Kiedy Cynthii nie było w pokoju, sporządziła cały plan.

Ojej!

Cynthia przełknęła ślinę. Spokojnie, tylko spokojnie.

-Wynajęłaś organizatora wesela?

-Tak, kochanie. Przed chwilą, kiedy wyszłaś do łazienki. Zadzwoiłam do przyjaciółki, której siostra zorganizowała właśnie wspaniały ślub, i wiedząc, jak mało mamy czasu...

- Czy to konieczne?

-Oczywiście. Nie ośmieliłabym się urządzać wesela bez kogoś takiego.

-Ale, ale...

- Daj spokój, Cynthio. To dla nas przyjemność. Nie musisz mi dziękować. Prawda, Harry?

-Mmm. Nie musisz.

-Ale chyba jeszcze za wcześnie na to wszystko?

- Dlaczego? - Rick przysunął się jeszcze bliżej z szyderczym uśmiechem. - Przecież wychodzisz za mąż, prawda?

-Ja... ja...

-Pewnie, że tak! Ona i Graham są zaręczeni już wystarczająco długo. Teraz, gdy dostali taki piękny domu, nie ma sensu czekać.

Rick klepnął Cynthię po kolanie.

- Nie ma sensu czekać. Taka... miłość!

Cynthia milczała zszokowana.

Katherine wzięła do ust ołówek i zastanawiała się.

- Kiedy kończysz jesienny semestr, kochanie? Zresztą to nie ma żadnego znaczenia. I tak nie będziesz musiała pracować. Kiedy ty i Graham przeprowadzicie się do rezydencji, będziesz prawdziwą damą.

Prawdziwą damą? Cynthia wydeła usta. Miałyby żyć beczynn timer tak jak matka Grahama? Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, to wieść życie jak cieplarniany kwiat. Nie zniosłaby tego. Musiała czuć się potrzebna.

-Katherine, naprawdę nie chcę, żeby wyglądało na to, że jestem...

- Wyrachowana? - podsunął Rick.

-...niewdzięczna. - Wyszczrzyła do niego zęby w fałszywym uśmiechu i stuknęła łokciem w bok. - Ale naprawdę uważam, że nie powinniśmy zbyt...

-Harrison, skarbie, kiedy Naughtonowie będą w domu? Czy Frank nie mówił ci, gdzie spędzą święta? A państwo

Weatherby? W Anglii? Na pewno nie jest za późno, żeby zaprosić krewnych z Europy...

- Z Europy? - Cynthia odruchowo chwyciła Ricka za ramię.

- A David i Lauren Barclay i ich dzieci...

- Ależ Katherine... - Kropelka potu potoczyła się po plecach Cynthii. - Naprawdę myślę, że powinniśmy poczekać na Grahama...

- Nonsens. Graham będzie zachwycony, że wszystko jest już załatwione.

Po długiej dyskusji poświęconej porównywaniu zalet kapelusza z perłami i woalką oraz tiary z welonem Cynthii wreszcie udało się przekonać Katherine, że muszą zastanowić się nad wszystkim spokojnie. Wprawdzie Katherine zaprotestowała i wydawało się, że chętnie prowadziłyby dyskusję do rana, co bardzo ucieszyło Harrisona, jednak ustąpiła.

Cynthia musiała wracać do domu i zadzwonić do Grahama. Chciała też choć chwilę pobyć sama. Pomyśleć. Zastanowić się, jak delikatnie i taktownie poprosić Katherine, żeby wstrzymała realizację swoich planów do czasu powrotu syna.

Nie przyszło jej do głowy, że Katherine może zrobić jej taką niespodziankę. Jej zaskoczenie było tak duże, że poddawała się wszystkiemu bezwolnie. Ale kiedy usłyszała, że na przyjęcie zostanie zaproszony nawet gubernator, zrozumiała, że musi z tym skończyć.

Sięgnęła po torebkę i wstała. Przyglądała spódnicy i mając nadzieję, że nie widać po niej, jak bardzo niezręcznie się czuje, uśmiechnęła się promiennie.

- No, no. Któraż to godzina? O, jak późno! Zwykle o tej porze już leżę w łóżku. Powinnam się zbierać. Dziękuję za

uroczy wieczór. Kolacja była wspaniała. Odezwe się do ciebie, Katherine.

Skierowała się do drzwi, przesyłając ręką pocałunki państwu Wingate'om i zupełnie ignorując uśmiechającego się szeroko Ricka. Potem, jakby gonił ją sam diabeł, pobiegła przez foyer i zaczęła wyciągać swój płaszcz z garderoby w holu, gdzie wrzucił go Rick.

Gospodarze stali i patrzyli, jak szarpie się ze zwiniętym okryciem.

- Rick, kochanie, pomóż Cynthii włożyć płaszcz. Spadł z wieszaka i strasznie się poplątał.

Rick szarmancko zrobił krok naprzód i próbował wyjąć płaszcz z jej rąk.

- Odejdź! - szepnęła groźnie Cynthia.

- No, no - wymamrotał Rick. - Bądź grzeczna. Mama i tata patrzą na ciebie, a oni myślą, że jesteś uroczą dziewczyną.

- Bo jestem!

- Mhm. - Odwrócił się w stronę rodziców. - Możecie się już położyć. Odprowadzę naszego gościa.

- Dobranoc, Cynthio! - zawołali Harrison i Katherine, wchodząc pod rękę po schodach.

- Jedź ostrożnie, kochanie - dorzuciła Katherine, zatrzymując się na pierwszym stopniu. - Harrison, nie chcę, żeby Cynthia jechała tym swoim gratem. Czy nie możesz zadzwonić po Jarreda, żeby odwiózł ją naszą limuzyną? A może ty odwieziesz ją do domu, Rick?

- Dam sobie radę, Katherine - upierała się Cynthia. - Dobranoc. I dziękuję za kolację.

Rick położył rękę na klamce, zanim Cynthia zdążyła wybiec. Blokując jej wyjście, wyjrzał na dwór i na końcu alejki zobaczył jej zdezelowany samochód zaparkowany przy krawężniku. Zmarszczył brwi.

- Naprawdę powinnaś pozwolić mi się odwieźć.

- Zwariowałeś? - szepnęła drwiąco. - Nigdzie z tobą nie pojedę.

On też zniżył głos do szeptu:

-W takim razie przynajmniej uściśnij mnie na pożegnanie. Marna i tata patrzą.

- Nie ma mowy. - Zaśmiała się. Ależ on ma tupet!

- Widziałaś, jak się cieszyli, że tak się ze sobą zgadzamy? Obejmij mnie - wycedził, przyciskając ją mocno do siebie.

- Dobrze, dobrze - zgodziła się niechętnie.

- A teraz braterski pocałunek. Przygotuj się. . - Jeszcze czego - zachnęła się.

- Nie psuj mojej matce udanego wieczoru.

Cynthia spojrzała na Katherine, która stała na szczycie schodów i uśmiechała się promiennie.

- Tylko jeden całus. Tutaj - wskazał ręką usta.

- Ho, ho! Możesz sobie o tym pomarzyć, kowboju.

- W naszej rodzinie to przyjęte. Chcesz tu stać przez cały wieczór i klócić się, czy pocałujesz swojego kochanego brata na dobranoc?

- Nie mam kochanego brata. Ale mam podłego, podstępne... - Może się zamkniesz?! - mruknął Rick i przerwał jej w pół słowa, dotykając ustami jej ust.

Frustracja musiała doprowadzić go do szaleństwa, bo przycisnął ją do siebie i pocałował tak, że straciła oddech. Rodzice uśmiechnęli się ze zdziwieniem, a potem spojrzeli na siebie pytająco.

Rick trochę za późno zdał sobie sprawę z błędu.

- Witaj w rodzinie, sestro! - ryknął i poklepał ją po plecach.

- Zwariowałeś! - syknęła i wypadła w mrok.

Tak. zwariowałem, przyznał, kiedy drzwi zatrzasnęły się tuż przed nim.

Naprawdę zwariował.



Kiedy Cynthia wróciła do domu, Tiffany z dzieckiem siedziała w ponurym korytarzu przed jej drzwiami. Dziecko miało zapłakaną, czerwoną twarzyczkę. Na podłodze stały dwie papierowe torby z ubraniami. Tiffany wyglądała na zmęczoną. Na lewym policzku miała czerwony ślad, jak od uderzenia ręką. Cynthia położyła torebkę na podłodze i pochylając się, zajrzała w zapuchnięte oczy dziewczyny.

- Tiffany! Co tu robisz o tej porze, skarbie?

Tiffany uśmiechnęła się przez łzy. Potem otarła nos nadgarstkiem.

- Pokłóciłam się z mamą i jej przyjacielem. Zastanawiałam się, czy ja i Hondo możemy cię odwiedzić. Nie mamy dokąd pójść - powiedziała, kołysząc krzyczącego synka.

Nazwany tak na pamiątkę motocykla swojego taty i filmu Johna Wayne'a mały Hondo wygiął się do tyłu, chwycił matkę za kolczyk w nosie i wymachując tłustymi nóżkami, ryknął płaczem. Łzy spływały po jego brudnych policzkach. Wyglądał niewiele lepiej od swojej wyczerpanej i zmartwionej matki.

- Ja... - Cynthia zmarszczyła brwi, zastanawiając się, gdzie umieści dziewczynę i małego.

Tiffany westchnęła.

- Jeśli to dla ciebie za duży kłopot...

- Ależ nie! Cieszę się, że będę miała towarzystwo. Półtoraroczny Hondo rzucił się na podłogę w ataku złości.

Wymachując rękami i nogami, demonstrował swoją niechęć do całego świata.

- Drzwi sąsiadów otworzyły się. Potem następne. Po kolei wysuwały się z nich głowy i sądząc po groźnych spojrzeniach, nie po to, by życzyć im dobrej nocy.

Cynthia wyciągnęła z torebki klucze i otworzyła drzwi. Rosy zbudziła się i szczeknęła kilką razy. Wystawiwszy do

przodu dolną szczękę, spojrzała z niechęcią na malutką istotę wymachującą rękami i nogami, i warknęła.

Cynthia ofuknęła psa, ale dobrze wiedziała, jak zwierzę się czuje.

Ten dzieciak był zbyt żywy.

Tiffany spojrzała z ulgą na łazienkę.

- Dzięki Bogu! Muszę tam zaraz iść. Potrzymaj go. -  
Podała Cynthii nieufnego, krzyczącego Honda i pobiegła do toalety.

-Och, Tiffany, drzwi się nie zamykają i...

-Nie szkodzi - zawołała Tiffany,

Cynthia odwróciła się i zaczęła zastanawiać się gorączkowo, gdzie położy wszystkich spać. Skąd weźmie koce dla małego i Tiffany?

A łazienka... W toalecie szumiała woda. Tiffany myła twarz nad umywalką.

W porządku. Nie ma sposobu, żeby wszyscy spali jednocześnie. Ledwie wystarczało miejsca dla niej i dla Rosy. Będą musieli się wymieniać.

Cynthia jęknęła. Miała naprawdę ciężki dzień. Musiała strzelać gorącym sosem, klócić się ze źle wychowanym bratem Grahama, a potem planować wesele, które nigdy nie dojdzie do skutku, Opadła na krzesło stojące przy stole, próbując wyplatać rączki Honda ze swoich włosów. Mały krzyczał tak, że prawie już ogłuchła.

Nic z tego nie wyjdzie. Natychmiast podjęła decyzję. Sięgnęła po leżącą na stoliku kopertę, którą dał jej wczoraj prawnik.

- Tiffany, jak tylko skończysz, bierz swoje rzeczy. Jedziemy do domu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Ojej! To twój dom? - spytała ze zdumieniem Tiffany.  
Hondo na szczęście zasnął w samochodzie.

- Teraz tak.

Cynthia pchnęła ramieniem ciężkie mahoniowe drzwi rezydencji Wingate'ów, postawiła bagaże na podłodze i włączyła zaprogramowane oświetlenie. Wspaniały dom zaraz przybrał wygląd jak z okładki luksusowego magazynu. Pazury Rosy zastukały na zimnym marmurze, gdy pies zaczął sprawdzać nieznanne zapachy w nowym miejscu.

Kiedy tylko skręcili w alejkę prowadzącą do rezydencji, Cynthia od razu zawiadomiła przez interkom ochronę o swoim przyjeździe. Chcąc uniknąć wizyt i mieć spokój, poprosiła ich i służbę, żeby przeszli do swoich mieszkań.

Wystukała swój osobisty kod i żelazne wrota otworzyły się jak sezam. Zaparkowała stary samochód, wzięła bagaże i weszła do nowego domu.

Czy to naprawdę jej dom?

Chyba tak.

Były same w olbrzymim foyer, Nawet ich szept odbijał się dziwnym echem. Cynthia zadrżała. Bez Alfreda było tu tak smutno. I pusto. Rozejrzała się po eleganckim wnętrzu, przypominającym najwyższej klasy hotel. Ktoś już pomyślał o tym, żeby udekorować dom na święta. Gustowne ozdoby zwisały z choinki. Wyglądały jak miniatutki w tym pokoju o wysokości czterech metrów. Dekoracje ozdabiały drzwi, gzymsy i masywną poręcz schodów. Wnętrze było przytłaczające.

Cynthia westchnęła z zadumą. Czy kiedyś przyzwyczai się do tego miejsca?

Bardzo wątpliwe.

Nie było tu ciasno ani swojsko. Ani przytulnie, ani przyjemnie. Czy można tu zrzucić buty i sweter przy drzwiach i położyć się na kanapie z filiżanką kawy i dobrą książką? Wzrok Cynthia przesunął się po ciężkich aksamitnych draperiach i jedwabnych sznurach. Każda z nich kosztowała

zapewne kilkaset dolarów. Specjalnie skonstruowane oświetlenie kierowało uwagę na dzieła sztuki - rzeźby, obrazy i kryształy. Meble były eleganckie i kosztowne. Wszystko kolorystycznie dopasowane i wypolerowane do perfekcji.

Cynthia spojrzała na schody i pomyślała, że przy tym mauzoleum nowoczesny dom Katherine i Harrisona wyglądał zdecydowanie skromnie. Nic dziwnego, że Katherine nie mogła się doczekać, kiedy zostanie panią tej rezydencji. Łatwo było sobie wyobrazić, jak matka Grahama urządza tu przyjęcia dla dystyngowanych przyjaciół i przyjmuje zagranicznych dygnitarzy.

Właśnie w takim celu Alfred zbudował rezydencję dla swojej ukochanej.

Cynthia w dalszym ciągu nie mogła pojąć, dlaczego chciał, żeby to ona wszystko odziedziczyła. Przecież to nie miało sensu. Samotna studentka, mieszkająca tylko z psem. Jej materac i stolik ze szpuli na kabel wcale nie pasowały do tego miejsca. Więc dlaczego?

Odwróciła się, żeby spojrzeć na Tiffany. Dziewczyna aż otworzyła usta z zachwytem.

- Ale pałac! - szepnęła. - Co ty jeszcze robisz w tej swojej klitce?

- Nie sądzisz, że ten dom jest zbyt... wielki?

- Co ty opowiadasz?! Ale jesteś bogata! Cynthia roześmiała się.

- Chodźmy. Włączę kominek w twoim apartamencie, żeby go trochę ogrzać.

- W moim apartamencie? - zachichotała Tiffany, idąc za Cynthia po schodach. - Apartamencie! Słyszałeś, Hondo? - zwróciła się do śpiącego dziecka. - Mamy apartament!

W końcu matka i jej dziecko zostali zainstalowani na górze. Cynthia postanowiła zająć dawny apartament Alfreda. Tu czuła się najbardziej swojsko. Łzy napłynęły jej do oczu.

Przypomniała sobie, jaki dobry był dla niej Alfred. I miły. Był taki wesoły i pogodny. Miała już dwadzieścia cztery lata, ale Alfred był jedyną osobą, którą uważała za rodzinę. To dziwne, jednak od chwili, gdy się spotkali, czuła, że jest jej bliski, a z biegiem czasu ta więź tylko się umacniała.

Pokój Alfreda wyglądał teraz zupełnie inaczej. Zniknął fotel na kółkach i szpitalne łóżko, sprzęt medyczny" i lekarstwa. Wszystko wyglądało tak, jakby ostatnich kilku miesięcy nigdy nie było.

Cynthia westchnęła głęboko i rzuciła torby na łóżko. Odpędzając od siebie smutne myśli, wzięła do ręki telefon. Musi porozmawiać dziś z Grahamem, nawet gdyby to miało oznaczać, że będzie musiała jechać samochodem do Bostonu.

Z rozmowy z telefonistką w Massachusetts zorientowała się, że są dwa hotele z numerami podobnymi do numeru, który znalazła w gabinecie Harrisona.

Może uda się za pierwszym razem. W hotelu „Pod Jesiennym Liściem" w centrum Bostonu zameldował się Graham A. Wingate, ale nie było go w pokoju. Cynthia spojrzała na zegarek i szybko obliczyła, która godzina jest teraz na Wschodnim Wybrzeżu. Dawno po północy. Fakt, że Grahama nie ma nad ranem w pokoju, jakoś dziwnie jej nie wzruszył.

Zostawi wiadomość na sekretarce.

„Graham, tu Cynthia. Gdzie jesteś? Nie mogę się dodzwonić na twoją komórkę. Zadzwoń do mnie jak najszybciej. Muszę z tobą porozmawiać!" Zaczęła chodzić w kółko po tureckim dywanie leżącym obok masywnego łóżka. „To nigdy się nie uda, słyszysz? Prędzej czy później ktoś zorientuje się w naszym. .. układzie. Sama tego nie wyjaśnię! To nie fair!"

Poza tym, myślała, im dłużej będą zwlekać z ujawnieniem prawdy, tym większe powstanie zamieszanie. Biedna

Katherine nigdy się z tego nie otrząśnie się. Cynthia schwyciła słuchawkę tak mocno, że kostki zbieleły jej w stawach. Bardzo lubiła Katherine. Takie postępowanie było wobec niej okrutne.

„Musisz zaraz przyjechać do domu i to wyjaśnić. Nie mogę okłamywać wszystkich. Rozumiesz mnie? Zadzwoń!”

Ze złości trzasnęła słuchawką. Przez dłuższą chwilę nie mogła dojść do siebie, Z odrętwienia wyrwał ją jakiś odgłos przy drzwiach. Rosy? Rozejrzała się. Psa nie było.

- Rosy? - szepnęła.

Cisza.

Biedactwo musiało zabłądzić.

Mocniej owijając sweter w tali, wyszła z apartamentu poszukać psa. Kiedy weszła do holu, coś nagle poruszyło się w ciemnościach. Najpierw pomyślała, że to cień Rosy, ale nie usłyszała stukotu psich pazurów. Może Tiffany chce napić się wody albo coś przekąsić? Zdała sobie jednak sprawę, że ten cień jest za wielki.

Zbliżał się do niej.

Przycisnęła dłonie do ust. Strach zdławił jej krzyk w gardle. Pokój zakołysał się. Serce o mało nie wyskoczyło z piersi. Za chwilę udusi się z braku tlenu. Uciekaj! - krzyczało coś w środku. Ale ziemia była jak galareta. Cynthia nie mogła zrobić kroku.

Zanim upadła na ziemię, stalowe ramiona objęły ją w pasie. Jej serce załomotało. Z całej siły wymachiwała rękami i nogami, próbując wyrwać się z uścisku.

- Uff! Cynthia?

Usłyszała swoje imię. Skądś znała ten głos. I zapach skórzanej kurtki, benzyny i gumy do żucia.

Rick?

Jej oczy wreszcie przyzwyczyły się do ciemności. Wpatrzyła się w przystojną twarz napastnika. Czy to naprawdę Rick?

-Cynthia?

-Rick! - Wyrwała ręce z jego uścisku i chwiejąc się, cofnęła się o krok. Poszukała po omacku kontaktu.

-Ale mnie przestraszyłeś! - zawołała, gdy rozblęsnęło światło. - Co ty tu robisz?

-Mógłbym cię spytać o to samo - obruszył się.

-Wcale nie. To mój dom.

-Co z tego?

-Ja zadaję pytania.

-Twarda jesteś, co?

Był tak rozbawiony, że wzięła się pod boki.

- Nie mam zamiaru kłócić się z tobą w nocy. Czego chcesz?

Nie odpowiadał. Nagłe przypomniała sobie telefon do Grahama. Czy Rick słyszał, co mówiła do słuchawki?

Spokojnie, spokojnie, spokojnie, powtarzała sobie w myślach jak mantrę. Jak ma się wytłumaczyć, żeby się nikomu nie narazić?

Płacz Honda wybawił ją z opresji.

- Co to? - spytał Rick. - Co? . .

Rick przyglądał się jej w milczeniu. Wiedziała, że znów ją podejrzewa o kłamstwo. Czy może go za to winić? Nie. Ale na pewno nie chciała, żeby Tiffany zdradziła teraz, że Cynthia i Graham nie zamierzają się pobrać.

Hondo znów zapłakał. Rick zmrużył oczy.

- To. - Odwrócił głowę, nasłuchując.

- Ach, to! - Cynthia uśmiechnęła się z przymusem. - Chyba kot sąsiadów, nie sądzisz?

-Najbliżsi sąsiedzi mieszkają o ćwierć mili stąd. To chyba duży kot.

-Pewnie tak.

- Zły kot - dodał Rick.

-Bardzo.

-Trzeba zmienić mu pieluchę.

Cynthia westchnęła i wzruszyła ramionami.

- Może.

Kamienny wyraz twarzy Ricka nie pozostawiał wątpliwości. Zorientował się, że w domu jest dziecko i teraz zastanawiał się czyje.

Miała już dosyć jego podejrzeń.

- Powiesz mi wreszcie, co tu robisz? - wypaliła, ale nie otrzymała odpowiedzi. Ani słowa. Ani jednego ruchu czy uśmiechu. Tylko martwa cisza.

Świetnie. Niech się nie odzywa. Jego zielone oczy miały teraz tak rozszerzone źrenice, że wydawały się niemal czarne. Cynthia czuła się jak naga. Bezbronna.

To było dziwne.

Wiedział, co ona myśli.

Czuła, że znali się od zawsze.

Rick próbował uporządkować wszystko, co o niej wiedział.

Nie mogąc dłużej znieść napięcia, opuściła wzrok. Miała nadzieję, że nie dostrzegł, jak jest nim zafascynowana. Dobrze. Dość już bezbronności. Pora przejąć inicjatywę.

-Sprawdzasz mnie?

-Nie wiedziałem, że tu będziesz.

-Dlaczego nie mówisz prawdy?

- A ty?

Prawda. A to dopiero. Cynthia przeklęła w duchu Grahama, który uparł się, żeby chronić matkę.

- Jestem zmęczona, Rick. Miałam ciężki dzień. Powiedz, czego ode mnie chcesz i po prostu połóżmy się do łóżka.



Rick uniósł brew ze zdziwienia. Cynthia uświadomiła sobie, jak dwuznacznie się wyraziła.

-Położysz się w swoim domu i w swoim łóżku. Uśmiech zadrgał na jego ustach.

-Przyjechałem tu, żeby powspominać - odparł łagodnie.

-Co powspominać?

-Dziadka.

Na jego twarzy pojawił się smutek. Cynthia była zaskoczona. Nie sądziła, że stać go na takie głębokie uczucia. Graham nie przeżywał tak śmierci dziadka. Jeszcze jedna rzecz, która ich różni, pomyślała.

-Nie za późno na takie podróże?

-Nie mogłem spać. Naprawdę nie myślałem, że tu będziesz, przysięgam.

- Ochrona cię wpuściła?

-Przecież mnie znają.

-No tak.

-Nie zdążyłem wrócić na pogrzeb, więc chciałem... - Westchnął. - Sam nie wiem, czego chciałem. - Jego głos zmienił się. Złagodniał. Po raz pierwszy nie było w nim sarkazmu.

- Rozumiem cię. - Lód w jej sercu zaczął topnieć. Spojrzał na nią tak, jakby jej uwierzył. Stali naprzeciw siebie w holu. Oboje przeżyli stratę, więc tym lepiej rozumieli swój smutek.

-Chciałbyś pójść do pokoju Alfreda?

-Czy to nie jest teraz twój pokój?

-Tak.

-Ach, nie.

-Dlaczego?

-To nie byłoby właściwe.

- Właściwe? - A wizyty po nocy były właściwe? Zawsze potrafił wykręcić wszystko tak, żeby wyszło, że to ona jest gruboskórna. Wzruszyła ramionami. - Jak uważasz.

- Oczywiście.

- Słuchaj - westchnęła. - Na strychu jest dużo osobistych rzeczy Alfreda, które trzeba przejrzeć. Jeśli chcesz sprawdzić, czy są tam jakieś cenne pamiątki, możesz przyjść i je zabrać. Ale poza tym trzymaj się ode mnie z dala.

- Kiedy mogę przyjść?

- Do środy jestem bardzo zajęta. W środę rano mam dwa wykłady, a potem będę wolna. Możemy umówić się po południu. Zadzwoń wcześniej.

Bez przekonania kiwnął głową. Cynthia zastanawiała się, czy w ogóle się pojawi.

Zrobił krok do tyłu i ruszył w kierunku schodów. Cynthia miała ochotę iść za nim.

- Dobranoc - wymamrotał. Przeskakując po dwa stopnie, wyszedł. Potem przekręcił za sobą klucz w zamku.

- Dobranoc! - zawołała, wiedząc że i tak jej nie usłyszy. Kiedy reflektory jego samochodu oświetliły ściany holu, a potem jej twarz i drzewa za oknem, poczuła coś jakby żal, że nie poznała go wcześniej.

Rick wyjeżdżał długą aleją z rezydencji. Wiedział, że ma problem. Podśledzał wystarczająco dużo z tego, co Cynthia mówiła do Grahama, żeby wiedzieć, że coś knują. Niestety, nie miał żadnych konkretnych zarzutów. Ale to bez znaczenia. Przynajmniej dla niego.

Cynthia jest winna.

Dla dobra całej rodziny - a to jest dla niego święte - musi trzymać się od niej z daleka.

Ale w najskrytszych zakamarkach serca chciał ją posiadać. Świadomość, że nie jest to kobieta dla niego nie studziła wcale jego pragnień.

Wyjechał powoli na drogę prowadzącą ze wzgórza do centrum Seattle. Co za diabeł go opętał? Był już trzecim mężczyzną w rodzinie, którego omotała ta kobieta.

Rodziców zresztą też. Matka wprost promieniała ze szczęścia, rozprawiając o ślubie, a ojciec cieszył się razem z nią. Rick zacisnął dłonie na kierownicy. To będzie piekło, kiedy Cynthia ich porzuci i ruszy na dalsze łowy.

Mógł się tylko cieszyć, że to problem Grahama.

Ale czy tylko Grahama?

W następną środę po wykładach Cynthia klęczała na zakurzonej podłodze strychu, przeglądając pudełka ze zdjęciami i pamiątkami z II wojny światowej. Nadal nie otrzymała odpowiedzi od Grahama. Dla rozrywki postanowiła zająć się porządkami.

Na czerwonej chustce, którą osłoniła włosy przed kurzem, wisiały już dwie długie pajęczyny. Nie zwracała uwagi na pobrudzony nos i policzki, studiując stare dokumenty.

Alfred wiódł takie barwne życie. Podróże, wino, kobiety,... Zerknęła na zdjęcie młodego, przystojnego mężczyzny w mundurze, pozującego z grupką ślicznotek w staroświeckich kostiumach kąpielowych i kwiecistych czepkach. Graham odziedziczył po nim zalotne spojrzenie.

A Rick atletyczną budowę.

Przyjrzała się bliżej. Ach, to dlatego Rick ma taką potężną klatkę piersiową i muskularne ramiona i uda. Pani Meier miała rację, mówiąc, że Alfred był kiedyś bardzo przystojnym mężczyzną. Z całą pewnością. Ale nie był tak seksowny i niebezpieczny jak jego pierworodny wnuk.

Aż jęknęła. O czym ona myśli? Nagle poczuła, że nogi zdrętwiały jej od siedzenia w jednej pozycji. Przechyliła się do tyłu, przeciągnęła i ziewnęła. Rzuciła okiem na stosy pudełek ze zdjęciami, slajdami i innymi pamiątkami i zastanowiła się, czy to dobrze, że zwolniła przed świętami służbę.

Ale chciała być sama. Pooglądać, powspominać. Zerknęła na zegarek, a potem na Honda, który siedział w pobliżu i zawzięcie rwał na kawałki stare magazyny. Rosy leżała pod starą komodą, patrząc podejrzliwie zażawionymi oczami. Tego ranka, kiedy matka Honda zostawiła go z Cynthia, żeby iść na ranną zmianę, chłopiec tylko raz miał atak złości.

Ale za to potężny.

Kiedy obudził się i zobaczył, że nie ma matki, płakał i szlochał przez dwie godziny. Cynthia kołysała go, nosiła, łaskotała, rozśmieszała i śpiewała mu, ale wszystko na próżno. Hondo najwyraźniej musiał się wyplakać.

Znała to uczucie.

Potem miał już dobry nastrój, nie licząc paru łez i krótkiego napadu niezadowolenia.

Tiffany powinna wrócić za dwie lub trzy godziny. A Rick? Czemu go jeszcze nie ma?

To głupie, ale czuła się rozczarowana. Dlaczego była pewna, że Rick przyjdzie? Przecież nie umówili się na randkę. Jednak chciała go zobaczyć. Choć był niegrzeczny i napastliwy.

Westchnęła, przysuwając do siebie następne pudełko. Zajrzała do środka i wyjęła stos listów przewiązanych wypłowiałą żółtą wstążką. Zmarszczyła brwi. Co to jest?

Położyła listy na kolanach i oparła się o belkę. Rozsupłała węzeł, wzięła pierwszy list z góry i sprawdziła stempel.

Ojej! Ten list wysłano prawie sześćdziesiąt lat temu. Papier był kruchy ze starości. Cynthia ostrożnie otworzyła kopertę.

List od jakiejś Jayne.

Jayne?

Dziwne. Babcia Ricka miała przecież na imię Elaine.

Dreszcz podniecenia przeszedł Cynthii po plecach. A może to list od pierwszej miłości Alfreda? Kobiety, o której pamiętał przez całe życie?

List był ozdobiony artystycznymi zawijasami i Cynthia bardzo powoli odczytywała jego treść.

Mój skonany Alfredzie!

Przygryzła wargę. Skonany? Przysunęła list bliżej do światła. A, kochany. To miało więcej sensu.

Mój kochany Alfredzie!

Śledziła wzrokiem zawijasy, starając się odczytać pismo na głos.

Wydaje się wielki ten odnowiony... patyk?

Cynthia zmarszczyła brwi. Nie, to niemożliwe. O, Boże! Jak ta Jayne niewyraźnie pisze!

Mama mówi, że mam własne dziecko... Nieczytelne, nieczytelne...

Rany boskie! Cynthia zamrugwała i zaczęła czytać od początku, odszyfrowując każdą literę z osobna.

Mój kochany Alfredzie!

Wydaje mi się, że już. wieki temu popłynąłeś na południowy Pacyfik. Mama mówi, że zachowują się jak nieposłuszne dziecko: nie jem, nie śpię i wciąż myślę o tobie. Bardzo tęsknię za tobą. Chcę, żebyś szybko wrócił. Mama i tata każą mi wyjść za Thomasa, ale ja się nie zgadzam! Prędeż umrę. Muszę teraz iść i udawać, że jestem szczęśliwa. Napisz do mnie jak najszybciej. Tylko Twoje listy trzymają mnie przy życiu.

Kochająca Cię na zawsze,

Jayne

Cynthia otarła łzę. Jakie to smutne! Ciekawe, czy gdzieś tu jest zdjęcie Jayne. Wielka miłość Alfreda. To dla niej zbudował ten dom. Traktował ją jak świętość. Nigdy potem nie ośmielił się nawet wymówić jej imienia.

Nagle poczuła czyjś dotyk na ramieniu i podskoczyła gwałtownie ze strachu. Listy rozsypały się po podłodze, a pudełko przewróciło do góry dnem. Hondo wykrzywił buzię jak do płaczu, a Rosy szczerzyła ostrzegawczo.

- Rick! - Cynthia schwyciła się za serce. - Przecież miałeś zadzwonić do mnie przed przyjazdem.

- Dzwoniłem.

Stała na drżących nogach i wzięła na ręce wrzeszczącego Honda. Wywijając małymi rączkami i nóżkami, przerażone dziecko ściągnęło jej z głowy chustkę, usiłując złapać Cynthię za szyję.

- Naprawdę? - Westchnęła z rezygnacją. - Kiedy?

- Godzinę temu. Dzwoniłem kilka razy. Zostawiłem ci wiadomość. - Sięgnął po jej telefon komórkowy i nacisnął przycisk. - Te urządzenia pracują lepiej, kiedy są włączone.

- Och, tak! - . Pokiwała głową, żeby nie zobaczył, jak jest zadowolona z jego przyjscia. Duży błąd. Hondo chwycił ją za nos. - Au!

- Hej, ty! - Rick zrobił krok naprzód i wziął od niej dziecko. - Tak nie wolno. Nie szarpiemy.

Hondo wpatrzył się nieufnie w Ricka, wyraźnie rozważając, jak unieszkodliwić tego obcego faceta.

- Ani się waż - ostrzegł Rick. - Nie wolno.

Hondo wykrzywił buzię i zadudnił piąstkami w pierś Ricka.

- Nie wolno! No właśnie - uśmiechnął się Rick. - Ja jestem Rick. A ty?

- Hondo Hunter, syn Tiffany - dokonała prezentacji Cynthia, wciąż pocierając obolały nos.

- Aha. Twoja mamusia ma różowe włosy i kolczyk w nosie.

- Tak. To prawdziwa konserwatystka. Tak jak ty.

-Nie wszystko złoto, co się świeci. Pamiętaj, Hondo. Ważne, co jest w środku.

-To prawda. - Cynthia zmrużyła oczy, patrząc na niego znacząco.

-Dlatego to powiedziałem.

-Świetnie!

Po raz kolejny wpatrywali się w siebie. To był już ich mały prywatny rytuał. Potem jednocześnie uśmiechnęli się. Nawet Hondo wyszczerzył wyszczerbioną buzię.

-Co robisz? - spytał Rick, wskazując na stos papierów.

-Porządki. Znalazłam listy do Alfreda od jakiejś Jayne.

-Naprawdę?

- Mhm. To chyba dla niej Alfred zbudował ten dom.

- Skąd wiesz?

- Opowiadał mi o niej. Dużo rozmawialiśmy o jego dzieciństwie, karierze, niespełnionej miłości i o wojnie. Czasem dyktował mi swoje wspomnienia i zapisywałam je w dzienniku. To był fascynujący człowiek.

- Domyślałam się.

W jego głosie brzmiała skrywana zazdrość. Cynthia zastanawiała się, czy Rick naprawdę zazdrości jej długich rozmów z dziadkiem.

Hondo usiłował zejść na ziemię, więc Rick postawił go na podłodze. Potem podał dziecku piłkę baseballową, którą znalazł w otwartym kufrze. W dzieciństwie sam się nią bawił. Uszczęśliwiony dzieciak natychmiast rzucił piłką w psa.

- Baaa! - krzyknął.

Rosy zaskowytała i weszła głębiej pod komodę.

-To dziwne, że Alfred zachował tę starą piłkę. Grałem nią na mistrzostwach w szkole średniej.

-Był z ciebie bardzo dumny.

-Nie. - Rick podrapał się w brodę, ale w jego oczach rozbłysła ciekawość.

-Ależ tak. Właśnie z ciebie. Mówił o tobie przez cały czas. Często czytałam mu na głos twoje listy. Ciągłe przerywał mi, żeby opowiedzieć coś o tobie albo o twoich podróżach za granicę. To było fascynujące. Właśnie dlatego zdecydowałam się studiować języki.

-Żartujesz.

-Wcale nie. Obaj mieliście takie ciekawe życie. - Westchnęła. - Myślałam, że skoro nie mogę podróżować, to przynajmniej nauczę się języków obcych.

-Może kiedyś gdzieś wyjedziesz.

-Wątpię. Nie mam pieniędzy. Rick roześmiał się.

-Ale masz ten dom. Wzruszyła ramionami.

-To co.

-Graham podróżuje w interesach. Nie możesz z nim pojechać?

-Zobaczymy. - Cynthia pochyliła się, żeby pozbierać listy. Wolą nie rozmawiać o Grahamie.

Bez ceremonii usiadła na podłodze i zaczęła układać listy według dat. Kiedy Rick zrzucił kurtkę i usiadł obok niej, przygryzła wargi w uśmiechu. To znaczy, że trochę z nią posiedzi. Świetnie. Miło będzie mieć obok siebie jeszcze kogoś oprócz dziecka i psa.

- Od czego mam zacząć?

Wręczyła mu list, który właśnie przeczytała.

-To ten list, o którym ci mówiłam. Od Jayne.

-Mmm. - Oparł się o kufer, skrzyżował nogi w kostkach, rozprostował pożółkły papier i zaczął czytać na głos.

-„Mój skonany Alfredzie!” Skonany? - powtórzył ze zdziwieniem.

-Kochany.

-Tak? - spytał, unosząc zalotnie brew.



- Nie mówię do ciebie. - Cynthia przewróciła oczami. - List. Mój kochany Alfredzie. Musisz przyzwycząć się do tych ozdobnych zawijasów.

- Rozumiem. Tu jest napisane, że wieki temu znalazła na południu patyk.

Cynthia przewróciła się na plecy i wybuchnęła śmiechem. Zaciekawiony Hondo wdrapał się na nią i ułożył się na jej kolanach.

- Wcale nie.

- Dobrze. Przeczytaj mi to jako ekspert od języków. Cynthia przeczytała ten list i następne. Były fascynujące.

- Nie miałem pojęcia, że dziadek Alfred był tak zakochany w Jayne - wymamrotał Rick, układając się wygodnie na stosie wełnianych wojskowych koców.

- O, tak. Byli sobie bardzo bliscy.

- To dlaczego się nie pobrali?

- Alfred mówił, że rodzina wybrała jej innego męża. Miał na imię Thomas. Ich rodziny były ze sobą powiązane finansowo i politycznie. Alfred chyba się oświadczył, ale nic z tego nie wyszło. Jayne próbowała go przekonać, że nie obchodzi ją, czego żądają rodzice i że z nim ucieknie, ale Alfred był bardzo dumny. Nie mógł przeboleć, że nie uważają go za godnego jej ręki. Postanowił udowodnić, że się mylą i zdobyć majątek. Potem wybuchła wojna. Kiedy wrócił do domu, Jayne była już żoną Thomasa i spodziewała się dziecka.

- To okropne.

- Tak. Trzeba iść za głosem serca.

- Czy ty tak robisz?

Cynthia doskonale wiedziała, że chodzi mu o jej związek z Grahamem.

- Tak - odparła z przekonaniem. Kiedyś Rick to zrozumie. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem jego wzrok padł na leżące na jej kolanach dziecko.

-Zasnął.

-Płakał przez cały dzień.

-Dlaczego? Czy jest chory? - Rick przykucnął obok niej i delikatnie dotknął czoła dziecka.

-Nie. Wydaje mi się, że po prostu przeżywa stres. - Przycisnęła usta do czoła chłopca. - Biedny dzieciak. Wiem, jak się czuje. Wychowywałam się w kilku rodzinach zastępczych. Niełatwo ciągle zmieniać miejsca i ludzi.

Rick skinął głową.

- Widziałem ten wyraz twarzy u moich pacjentów.

Cynthia objęła malca i przytuliła go do piersi. Był bezwładny jak szmaciana lalka. Kiedy spał, wyglądał jak cherubin. Delikatnie zaróżowione policzki, pełne różowe usta, długie ciemne rzęsy i skręcone na baranka czarne włosy. Był śliczny. Cynthia pociągnęła nosem.

-Nikt nie powinien czuć się samotny - wymruczała z żalem, myśląc o dziecku, o Alfredzie i może trochę o sobie.

-Nie. - Ich oczy znów się spotkały, ale tym razem patrzyli na siebie czulej.

Oboje mężnie stłumili w sobie tę czułość. Wszystko było i tak zbyt skomplikowane. Cynthia powtarzała sobie, że nawet jeśli zerwie z Grahamem, Rick nadal będzie dla niej kimś w rodzaju brata. Nic poza tym. Jeśli pozwoli uczuciu zakiełkować, czeka ją ból. W jego oczach widziała tę samą walkę.

Delikatnie pogładził ją po plecach. Rozumiał dobrze jej emocje.

Nagle jego niezgrabny dotyk stał się mocniejszy. Cynthia instynktownie przytuliła się do jego boku. Pragnęła ciepła. Przez całe życie szukała bliskości z drugim człowiekiem. Jego ręka momentalnie powędrowała na jej ramiona. Przygarnął ją do siebie.

Teraz mogła uzalać się nad sobą. Nad utraconym dzieciństwem, utraconą miłością, nad Alfredem. I nad smutnym losem Tiffany. Oplakiwała straty w ramionach Ricka.

Hondo spał słodkim snem.

Nie protestowała, gdy Rick objął ramionami ją i dziecko. Kołysał ich. Głaskał ją po włosach. Pieścił jej szyję. Kiedy dotknął ustami jej skroni, zamknęła oczy. Dreszcz przeszedł jej po plecach.

Jego ciepłe usta powędrowały w dół. Delikatne pocałunki uspokajały ją i podniecały. Odchyliła głowę i spojrzała na niego. W jego oczach ujrzała odbicie własnego pożądania.

Jej oddech stał się szybszy. Jego też. Serce biło jej mocno. Jemu też. Chwyciła go za ramiona, podając usta. Zastanawiał się tylko przez sekundę, po czym ją pocałował.

Ten pocałunek, tak delikatny i tak namiętny zarazem, zamienił jej ciało we wrzący wulkan. Ale skończył się o wiele za szybko, bo nagle zadzwonił telefon.

Cynthia jęknęła.

Rick też.

I Hondo.

Rick niechętnie sięgnął po telefon i podał go Cynthii.

- Halo? - Zamarła na dźwięk głosu po drugiej stronie słuchawki. - Graham?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dzwonił Graham.

Rick zeszywniał.

Jego rodzony brat. Wprawdzie był draniem i podrywaczem, ale w tym momencie siedzący z twarzą zanurzoną w słodko pachnące, jedwabiste włosy Cynthii Rick musiał przyznać uczciwie, że nie był od niego lepszy. Powoli puścił jej wiotką talię, chwycił się za belkę i wstał.

Przeganiał ręką włosy i odrzucił do tyłu głowę. Co za historia!

Całował się z narzeczoną brata.

Z kobietą, która wkrótce zostanie jego bratową. Tylko dlatego, że ona chce zagarnąć majątek należący do jego rodziny. Wolno wypuścił powietrze, przysłuchując się rozmowie.

- Gdzie ty byłeś? Od kilku dni nie mogę się z tobą skontaktować!

Położyła ręce na czole i potarła oczy, słuchając wykrętów Grahama.

- Dobrze. W porządku. Jasne. Nieważne. Słuchaj, mówiłam poważnie. Musisz wrócić do domu. Teraz. Co to znaczy jeszcze dwa tygodnie? To już prawie Boże Narodzenie. To bardzo ważne! Dlaczego? Jak to dlaczego? Bo twoja matka zaczęła planować nasze wesele, dlatego. Na dzień przed Wigilią. Co to znaczy no i co? Słyszałeś, co powiedziałam? Planuje nasze wesele! Chyba pamiętasz naszą rozmowę, to nie fair, dlatego. Nie! Nie, Już ci mówiłam. Po raz setny nie!

Cynthia spojrzała na Ricka, a potem znów wpatrzyła się w zakurzoną podłogę. Zaczęła kreślić palcem jakiś wzór.

- Słuchaj, muszę kończyć. Nie jestem sama. Tak. Jestem u Alfreda. Tak. Gdzie będziesz? Jedziesz jeszcze do Paryża? Na miłość... Kiedy będziesz znał ten numer? Dobrze... Nie. Dobrze. Zadzwoń do mnie. Zadzwoń do matki. Tak. To ją cieszy. Tak, czuje się lepiej. Tak, cieszę się. Ale na jak długo? Ona musi się dowiedzieć. Teraz, Graham. To należy do ciebie. Teraz.

Rick wiedział, że powinien wyjść, ale nogi wrosły mu w ziemię. Pragnął usłyszeć coś, co dawałoby choć cień nadziei, że Cynthia jest niewinna. Ale to wszystko było niejasne.

Cynthia na pewno nie była zadowolona, że Katherine tak energicznie wzięła się za planowanie wesela.

Cynthia i Graham mieli jakieś poważne problemy. I sekrety, które zapowiadały nieszczęście. Ale jakie? Dlaczego?

To nie ma znaczenia. Jego własne sumienie nakazywało mu odciąć się od tego wszystkiego. Igrał z ogniem i może już się nawet sparzył. Pochylił się, by podnieść z podłogi skórzaną kurtkę.

- Graham, mam drugi telefon. Muszę kończyć. Zadzwoń do matki!

Żadnych czułych słów na pożegnanie, pomyślał Rick. Był zły na siebie, że sprawiło mu to satysfakcję..

Cynthia z westchnieniem wcisnęła drugi przycisk.

- Halo? Och, dzień dobry, Katherine.

Rick ponownie zastygł w bezruchu. Jego matka?

- Nie, nie, w niczym mi nie przeszkadzasz.

Usta Cynthii drżały. Spojrzała z przygnębieniem na Ricka. Poczucie winy ścisnęło go za gardło.

- Organizator wesela? Ja... ja... ale...

Cynthia zamilkła. Katherine była uradowana. Podniecona. Szczęśliwa po raz pierwszy od wielu lat.

Cynthia próbowała się wtrącić.

- Ale... Tak, ale ja... O! Ale... ale...

Katherine nie dawała jej dojść do słowa.

Rick powoli włożył kurtkę. Powinien iść. Zapiął zamek i sięgnął po kask.

Cynthia zgarbiona pod ciężarem tajemnicy zaczęła kiwać głową.

- Oczywiście. Rozumiem.. Nie, naprawdę... tylko że ja... Tak, oczywiście... Raz w życiu? Wyjątkowa okazja... Rozumiem... Dobrze... Mhm... Tak, będę w piątek po południu. O wpół do piątej?... Dobrze. Do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę i zapatrzyła się w ścianę. Hondo poruszył się na jej kolanach. Z roztargnieniem pogładziła go po głowie.

- To... - Wskazała na słuchawkę, próbując się uśmiechnąć - to był twój brat. I, och, twoja matka.

- Domyśliłem się.

Rick wiedział, że powinien wyjść, zanim Cynthia zacznie kłamać, o czym rozmawiała przez telefon, ale nie potrafił się do tego zmusić.

Promienie zimowego słońca wpadały przez okno w suficie poddasza i oświetlały Cynthię i dziecko złotym blaskiem. Pyłki kurzu unosiły się leniwie w powietrzu. Włosy dziewczyny rozsypały się po plecach. Wyglądała seksownie i dziewczęco.

Itak niewinnie. Czy to możliwe?

Rick, nie mogąc spojrzeć jej w oczy po tym, co zaszło, zanim zadzwonił telefon, błędził wzrokiem po ścianach z desek łączonych zaprawą. Był to typowy strych, pełen kufrów, manekinów i świątecznych dekoracji. Wieniec z makaronu pomalowany sprayem na ciepły złoty kolor i przyklejony do kółka z tektury, który Rick zrobił własnoręcznie w czwartej klasie, leżał na pudełku ze Świętymi Mikołajami zrobionymi z przędzy. Duchy z innej epoki nawiedzały to miejsce - utracone miłości, zniszczone marzenia. A teraz on sam nadużył zaufania brata.

Ciszę przerwał cichy i poważny głos Cynthii.

- Myślę, że powinniśmy trzymać się od siebie z dala.

- Racja. - Rick oparł kask na biodrze. - Choć to będzie trochę trudne, bo niedługo wejdiesz do naszej rodziny.

- Idź już.

- Jeśli będziesz wypraszać mnie w ten sposób z domu, nabawię się kompleksów.

- Idź!

Hondo zapłakał przez sen.

Rick bez słowa odwrócił się i zszedł po schodach. Kiedy wyszedł na ulicę, zimne powietrze uderzyło go w policzki. Momentalnie otrzeźwiało. Wiedział, że musi być blisko Cynthii, To było ryzykowne, ale musiał się przekonać, czy ona naprawdę kocha Grahama.

A jeśli nie, czy można ją potępić?

Cynthia była pewna. Najwyższy czas powiedzieć prawdę Katherine.

Choć Graham się rozzłości.

A Katherine będzie nieszczęśliwa.

Po co się oszukiwać. Przecież Katherine nie ma powodu do radości.

Czyż nie?

Czując narastający ból głowy, spróbowała obrócić w ustach skołowaciały język. To okropne. Dlaczego musiała zranić kobietę, która traktowała ją jak córkę?

Minęły już dwa dni. Graham zlekceważył jej prośbę i nie zadzwonił do matki. Wstrętny egoista. Na wielkim granitowym blacie leżało mnóstwo otwartych książek, magazynów i ulotek reklamowych najlepszych kwiaciarni, restauracji i fotografów w Seattle. Katherine wraz z kobietą, której Cynthia nie widziała nigdy wcześniej, rozprawiła z ożywieniem towarzyszącym zwykle wyborom nowej Miss Ameryki.

Katherine wyczuła obecność Cynthii i odwróciła się.

- Ach, Cynthia! Kochanie, już jesteś! - Promieniejąc ze szczęścia, podbiegła do Cynthii i pociągnęła ją za rękę.

- Marcello, to panna młoda, Cynthia Noble, moja przyszła synowa. Cynthia, to nasza organizatorka wesela. Najlepsza w Seattle.

Pobrzękując bransoletkami na rękach, Marcella zbliżyła się do Cynthii i biorąc jej rękę w swoje dłonie, przycisnęła ją do obfitego biustu.

- Cynthio, jak to cudownie, że mogę cię poznać - zaszcebiotała, zbliżając tak bardzo swoją twarz do Cynthii, że kontury jej haczykowatego nosa straciły ostrość.

Jej oddech pachniał kawą i papierosami i utkwilo jej coś w przerwie między wielkimi przednimi zębami. . - Mam już plan, skarbie.

Objęła Cynthię w pasie i usadziła ją przy stole między sobą i Katherine.

- Właśnie sprawdzałyśmy z Katherine próbki jedzenia, które przyniosłam. Spróbuj tego. - Zanurkowała w talerzu z serem i krakersami i wcisnęła kostkę sera do ust Cynthii, zanim dziewczyna zdążyła zaprotestować.

- No, no, no i jak?

Cynthia zdołała tylko kiwnąć głową, z wysiłkiem połykając kawałek oślizgłego sera.

Katherine, wierząc się z podniecenia, przesunęła w stronę Cynthii miseczkę z kawiozem.

- Marcella, nałóż trochę Cynthii!

Refleks Cynthii zaczął działać. Nigdy nie przepadała za owocami morza, więc również widok rybich jajeczek nie wzbudził w niej entuzjazmu.

- Proszę, laleczko, spróbuj tego. - Marcella znów wetknęła jej coś do ust. - No, no i jak? - Z napięciem zajrzała Cynthii w twarz. - Nno?

Zapach kawioru i sera brie wionący z ust Marcelii doprowadził Cynthię prawie do łez,

- Och. Hm, tak. - Cynthia próbowała się odsunąć, ale Marcella jej nie pozwoliła.

Z ozywieniem potrzasała bransoletkami, nie przestając mówić. Potrafiła wprowadzić Katherine w trans. Jej gardłowy



głos, hipnotyzujące spojrzenie i nachalność doprowadzały Cynthię do rozpacz.

Może to klaustrofobia albo nieśmiałość, ale Cynthia potrzebowała przestrzeni. Natychmiast.

-Na przyjęciu możemy zaszerwować gościom homara, kaczkę z pomarańczami albo rozbratel.

-No tak, ale co dla wegan? - Katherine gorączkowo zapisywała wszystko w palmtopie.

- Może makaron z grillowanymi grzybami portobello? Cynthia westchnęła. Jedno danie będzie kosztować więcej niż miesięczny czynsz za jej dawne mieszkanie. Nie mogła już tego znieść. Musi porozmawiać z Katherine. Trzeba powstrzymać te nonsensowne plany.

Ale jak? Kiedy? Spoglądając w bok, próbowała przyjrzeć się jej twarzy. Katherine była wniebowzięta. Graham przynajmniej w tym wypadku miał rację. Katherine wydobyła się wreszcie z chronicznej depresji i wróciła do życia. Odebranie jej radości wydawało się podłością.

Poza tym to obowiązek Grahama.

Nagle mrówki przeszły Cynthii po szyi, a żołądek wyrócił się do góry.

Odwróciła głowę. Jak zwykle, gdy chodziło o Ricka, szósty zmysł jej nie zawiódł.

- Witam szanowne panie! Mamo! - Rick podszedł do matki i pocałował ją w policzek. - Cynthio!

Dreszcz przeszedł jej po plecach, gdy usłyszała jego niski głos. Wciąż prześladował ją tamten pocałunek. Nie miała odwagi spojrzeć Rickowi w oczy.

Wyraźnie nie zamierzał uszanować jej prośby, by trzymali się od siebie z dala.

Marcella puściła ręce Katherine i Cynthii i zdusiła Ricka w niedźwiedzim uścisku.

- To z pewnością pan młody - wypaliła.

Cynthia zauważyła, jak Rick zmarszczył nos. Musiała odwrócić głowę, żeby nie roześmiać się histerycznie. Rick potrząsnął głową.

-Prawdę mówiąc...

-Będziesz wyglądał ba-jecz-nie w smokingu.

Musiał się zgarbić, gdy Marcella wsadziła jego rękę pod swoje ramię, a potem schwyciła Cynthię i pociągnęła ich w kierunku wypchanego notatnika.

-A propos, umówiłam was na przymiarki jutro, punktualnie o dziewiątej w weselnym butiku Phillipa Michaela Allena. To prawdziwy cud, bo on ma umówione spotkania na dziesięć lat naprzód. Czyż to nie wspaniale? - spytała głosem ochrypłym z wrażenia.

- Marcello, to mój drugi syn, Rick - zaśmiała się Katherine.

- To nie pan młody. Na razie.

- O? - Uśmiech Marcelli stał się drapieżny. Cynthia poczuła dziwne ukłucie w serce.

Katherine skinęła głową i pieszczotliwie poklepała syna po policzku.

- On jest taki niesforny. Ale wiem, że zrobi to dla mnie i na pewno zgodzi się zastąpić jutro Grahama na przymiarce. Mają mniej więcej te same wymiary.

Cynthia wytrzeszczyła oczy na Katherine. Czy ta kobieta jest ślepa? Rick i Graham mieli te same rozmiary, kiedy ostatnio leżeli razem w pieluchach. Jeśli Rick będzie służył za modela, to smoking będzie wisieć na Grahamie,

Ale przecież Graham i tak nigdy go nie włoży.

Cynthia spojrzała na Ricka. Obserwował ją. Co też może kryć się w tych zielonych oczach? Tydzień temu podsłuchał jej kłótnię z Grahamem, a potem rozmowę z Katherine. Jednokomórkowa ameba domyśliłaby się, że Cynthia nic chce tego ślubu.

- Czy Graham dzwonił, mamó? - Rick z udawaną obojętnością sięgnął po krakersa i położył na nim kawałek sera.

- Dobrze, co? - dyszała Marcella, pochylając się ku niemu. - Spróbuj też kawioru, skarbie.

- Nie, kochanie. Nie odzywał się. Jest teraz bardzo zajęty. Nie spodziewam się, żeby zadzwonił wcześniej niż za tydzień.

- Aha. - Spojrzał w górę nad wyfiokowaną i wylakierowaną fryzurą Marcelli i uniósł brew w kierunku Cynthii.

Poruszyła się niespokojnie. Zastanawiał się, czy pozwoli matce kontynuować przygotowania do ślubu, choć prosiła, żeby Graham wszystko wstrzymał.

Z jakiegoś głupiego powodu Cynthia poczuła się urażona. Myślała, że doszli do porozumienia - przecież się całowali, ale wyglądało na to, że wciąż podejrzewał ją o nieczne intencje. Nie umiał czytać w jej myślach. Przecież nie mogła mu powiedzieć, że zerwała z Grahamem. Jeszcze nie. Mimo to jej duma była urażona. Chyba widział, że ona nie jest flirciarą.

Jej twarz zapłonęła wstydem. Tylko tyle zrozumiał z ich pocałunku. W takim razie niech myśli, co chce. Nigdy jej nie zaufa, więc po co się starać? Teraz będzie robiła tak, jak chce Graham, modląc się tylko, żeby zadzwonił do matki i zakończył to smutne przedstawienie. W najgorszym razie sama zapłaci za ślubny strój, gdy zarobi w restauracji. Może ta suknia przyda się jej jeszcze kiedyś. Miała nadzieję, że w butiku Phillipa Michaela Allena można kupować na raty.

- Ooo, jestem pewna, że możesz spokojnie zastąpić brata. - Marcella dotknęła ołówkiem wargi i z profesjonalnym zainteresowaniem przyglądała się sylwetce Ricka.

Cynthia znów miała ochotę ją udusić. Rick wzruszył ramionami.

- Nie mam nic lepszego do roboty. Cieszę się, że się na coś przydam. Ślub brata nie zdarza się co dzień. Zresztą muszę jutro pobiegać po mieście, więc chętnie wpadnę po Cynthię i zabiorę ją do krawca.

Cynthia spojrzała na niego spode łba. Nie przestanie jej dręczyć, dopóki nie powie mu, co z jej zaręczynami z Grahamem. Nie szkodzi. Da sobie radę. Teraz już wie, o co mu chodzi.

- Cudownie. - Katherine z radości klasnęła w dłonie. - Graham będzie szczęśliwy, że jesteście tacy zgodni.

Cynthia poczuła, że pałą ją policzki.

- To prawda - przytaknął skwapliwie Rick. - Jak najlepsi kuzyni, prawda, Cynthio?

- Ooo, chciałabym być twoją kuzynką, skarbie. - Marcella uśmiechnęła się, odsłaniając ślad szminki na przednich zębach. Zamknęła swój notes i spojrzała na zegarek. - Muszę uciekać. Jutro po przymiarce porozmawiamy o kwiatkach, dobrze?

- Jutro? - Cynthia ścisnęła kurczowo granitowy, zimny blat. - Po co ten pośpiech?

- Żartujesz, laleczko? Inaczej dostaniemy same chwasty.

- Nie mogę na to pozwolić - zaprotestował Rick. - Oczywiście, będziemy - zapewnił, unosząc kciuk.

Nazajutrz rano Rick polerował srebrnoszarego mercedesa - jego jedyne ustępstwo na rzecz godnego pogardy materializmu - nie przestając myśleć o Cynthii. Miała rację. Powinien trzymać się od niej z dala, ale jak by wtedy jej pilnował?

Odkrycie tajemnicy jej związku z Grahamem stało się już obsesją. Nabierając wosku na szmatę, zastanawiał się, czy chce jej pilnować jako przestępczym, czy też jest nią zainteresowany jako kobietą.

Cynthia była bardzo seksowna.

Mimo chłodu krople potu powoli spływały mu po plecach. Zaczął polerować auto jeszcze energiczniej. Koszula przylepiła się do ciała. Uniósł ramię, by otrzeć pot z czoła. Tak, coś w niej było.

Kiedy ją pocałował, nie broniła się. Odwzajemniła pocałunek. Z uczuciem. Na pewno nie udawała. Jakaś siła przyciągała ich do siebie. I choć chciał, nie mógł nazwać jej oszustką. Chociaż okoliczności świadczyły przeciwko niej, był przekonany, że Cynthia nie jest awanturką.

Rick przyjrzał się swemu odbiciu w błyszczącej karoserii.

O co tu chodzi?

Wiedział, że Cynthia na pewno nie kocha Grahama. Za to on sam nie jest jej obojętny. Ale pozwalała matce planować ślub.

Westchnął głęboko.

Dlaczego?

Choć ten związek wydawał się dziwny, Cynthia mimo wszystko była narzeczoną jego brata. O tym nie mógł zapomnieć. Poza tym nawet jeśli Graham się nie liczył, Rick wiedział, że powinien mieć taką kobietę, która zaakceptuje jego sposób na życie. Nie mógł związać się z dziewczyną, która nie zechce ruszyć się z miejsca.

Jego wybranka musi umieć zrozumieć jego zaangażowanie w pracę. I potrafić obejść się bez wygod, o które trudno w slumsach.

Rick potrzebował kobiety odważnej, z charakterem, z poczuciem humoru, takiej, która łatwo się nie podda.

Krótko mówiąc - zacisnął mocno oczy - potrzebował Cynthii.

Kiedy się nie kłócili, było im ze sobą dobrze. Przyciągali się nawzajem. To było dziwne. Tak jakby łączyła ich tajemna przeszłość. Po prostu bratnie dusze.

Jak Alfred i Jayne.

Odwrócił się tyłem do samochodu, wrzucił szmatę do wiadra i odsunął je na bok. Teraz pójdzie do domu wziąć długi, zimny prysznic. Musi ochłonać, zanim zobaczy się z Cynthią.

Czekając na Ricka, który miał ją zabrać na przymiarę, Cynthia głaskała Rosy i czytała list miłosny znaleziony na strychu. Jej serce zamarło, a potem zaczęło bić jak oszalałe. Długo wpatrywała się w kartkę. Wreszcie zrozumiała, dlaczego Alfred tak ją faworyzował i zapisał jej w testamencie majątek.

Jej wzrok przesunął się po znajomych zawijasach pisma Jayne, potem jeszcze raz, żeby się upewnić.

To dlatego!

Nareszcie rozwiązała zagadkę, która ją tak dręczyła! Podniecenie rozsadzało jej pierś. Spojrzała przez drzwi balkonowe na fontannę. Teraz wydawało się jej to oczywiste. W końcu jej kwalifikacje jako osobistej asystentki nie były wysokie. Po ukończeniu szkoły średniej nie kontynuowała nauki z powodu braku finansów. Mimo to Alfred zatrudnił ją, nie widząc jej na oczy, i sprowadził z Minnesoty do Seattle. Była zbyt naiwna, żeby zastanawiać się dlaczego.

Spojrzała znów na pożółkłą papeterię i słowa, które skreśliła Jayne,

Wybacz mi, Alfredzie. Rodzice powiedzieli, że zginąłeś na wojnie. Możesz wyobrazić sobie moją rozpacz, gdy odbyłam, że kłamali! Nie mam teraz wyboru. Muszę zostać z Thomasem. Jestem w ciąży. Zrozum, że przede wszystkim muszę myśleć o dziecku... Nasze rodziny zainwestowały we wspólne interesy. Zawsze będę cię kochała... z całego serca...

Cynthia nie mogła czytać dalej. Z jej oczu płynęły łzy. List był wysłany w 1946 roku z Duluth w Minnesocie.

W tym samym roku urodził się ojciec Cynthii.

Poprzednie listy były podpisane po prostu Jayne, bez adresu zwrotnego. Ten list wysłała Jayne Marie Coleman - Noble, żona Thomasa Noble'a.

I przyszła matka Williama Noble'a, który był... ojcem Cynthii.

Ukochana Jayne Alfreda była babcią Cynthii.

Myśli wirowały w jej głowie jak szalone.

Babcia Jayne i dziadek Thomas nie kochali się od zawsze? Babcia Jayne, taka surowa i przyzwoita, kochała się kiedyś na zabój w Alfredzie?

Sama ta myśl była niedorzeczna.

Teraz nagle nabrały sensu różne wcześniejsze uwagi Alfreda.

„Tak bardzo mi ją przypominasz. Z zachowania, z uśmiechu. Tak samo się śmiejesz”.

Cynthia skrzywiła się. Pamiętała, choć niewyraźnie, wyniosłą minę babci. Czy naprawdę Alfred widział między nimi podobieństwo? Może Jayne była kiedyś miłsza i łagodniejsza. W końcu jej listy były pisane z pasją.

Cynthia nigdy by nie odgadła, że Jayne z listów to ta sama Jayne, która wychowywała jej biednego ojca. Szczerze mówiąc, była prawie pewna, że Alfred był szczęśliwszy bez swojej „Lady Jayne”.

Ale przecież zgryźliwy dziadek Thomas mógłby skwasić najświeższe mleko.

Cynthii nasuwały się porównania między sytuacją Jayne, Thomasa i Alfreda i jej własnym związkiem z Grahamem i Rickiem.

Czy Jayne byłaby miłsza, gdyby wyszła za Alfreda? Czy nie byłaby taką apodyktyczną perfekcjonistką?

Ale gdyby los pozwolił Alfredowi poślubić jej babcię, nie byłoby tu ani Cynthii, ani Ricka. Byliby innymi ludźmi.

Innymi i spokrewnionymi ze sobą.

- Nie musiałeś tego robić.

Cynthia miała na myśli wyprawę do butik i przymiarkę smokingu.

- Oczywiście, że musiałem. W końcu po co się ma brata? Chcę wam pomóc.

Odwróciła głowę w bok, żeby nie patrzeć na atrakcyjny profil Ricka.

- Mhm. Tak.

- Lepiej dodam gazu, bo możemy się spóźnić. - Rick ruszył spod domu Alfreda.

- Lepiej się spóźnić, ale żyć.

- Daj spokój. Myślałem, że lubisz ryzyko.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Przecież zaręczyłaś się z Grahamem, prawda? Zacisnęła usta, żeby nie okazać strachu, gdy wyjeżdżali w ostrym zakręcie na szosę. Doskonale wiedział, że nie była jej potrzebna ta głupia przymiarka. Ale postanowił śledzić jej każdy krok.

Cynthię złościł uśmiech zadowolenia na twarzy Ricka. Na pewno sądził, że im więcej czasu będzie z nią spędzać, tym szybciej pozna prawdę.

Chociaż sama nie była pewna, co jest prawdą.

Wiedziała tylko jedno. Jej uczucia do Ricka Wingate'a wymknęły się spod kontroli. Przecież nie ma nadziei na związek między oficjalnie zaręczoną kobietą i mężczyzną, który uważał ją za oszustkę. Ale mimo to pozwalała sobie marzyć.

Ostatniej nocy nie mogła zasnąć. Wspominała ich pocałunek. To była magia.

Wprawdzie Rick to twardy mężczyzna, ale czy nie przeżywał tego w ten sam sposób? Tak, chciał udowodnić, że jej zaręczyny są oszustwem, ale to nie wszystko.



Z ręką ułożoną swobodnie na kierownicy mercedesa Rick minął ciężarówkę, która opryskała przednią szybę ich samochodu.

Cynthia zacisnęła palce, odliczając do dziesięciu.

Rick udawał, że nic nie zauważył.

- Co ostatnio robiłaś? - spytał.

Cynthia zastanawiała się przez chwilę. Nie miała ochoty na zwierzenia. Ale z drugiej strony korciło ją, żeby opowiedzieć komuś o tym, czego się dowiedziała.

-Czytałam.

-Listy?

-Mhm.

-Znalazłaś coś ciekawego? Opowiedziała mu wszystko ze szczegółami.

Milczał, gdy czytała mu fragmenty listu, który schowała do torebki wraz z zakurczonym dziennikiem Alfreda. Kiedy skończyła, powoli wypuścił z ust powietrze.

- To twoja babcia była tą kobietą, dla której Alfred zbudował dom? - Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Rick! Proszę! Uważaj na drogę! Wzniósł oczy.

- Kto prowadzi, ty czy ja?

- Chyba ja, bo tylko ja obserwuję drogę.

-I świetnie sobie radzisz. Jeszcze się nie rozbiliśmy. - Spojrzał przez szybę, uśmiechając się leniwie. - Powiesz moim rodzicom?

-Tak, przy najbliższej okazji. - Postanowiła zaczekać do powrotu Grahama. To kolejny cios, jaki padnie z jej ręki. Biedny Harrison wkrótce dowie się, że jego matka nie była prawdziwą miłością Alfreda.

-No tak. Dlatego zostawił ci swój olbrzymi dom. Przypominałaś mu ukochaną.

-Mhm. Ale myślę, że idealizował przeszłość.

-Dlaczego?

- O ile sobie przypominam, babcia Jayne wcale nie była taka słodka.

- Naprawdę?

-Pamiętam, że lubiła się złościć. Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

-A więc jednak była podobna do ciebie.

-Bardzo śmieszne. Może spojrzalbyś na szosę, zanim się rozbijemy?

-Oczywiście, Jayne.

-Urocze. Po prostu urocze.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

-A więc nie chciała go.

- Nie ona. Jej ojciec. - Cynthia przesunęła palec na ostatnią stronę dziennika Alfreda, kiedy skręcali do butiku dla nowożeńców w centrum Seattle. - Alfred pisze, że wydał ostatnie pieniądze na muzyków, ulubione wino Jayne i prawie tuzin czerwonych róż. Wydaje mi się, że nie było go na to stać.

-Okropne.

-Potem pojechał do niej i ukląkł, błagając, by pojechała z nim. W połowie pieśni miłosnej jej ojciec strzelił. Butelka wina pękła, muzycy padli na podłogę i to był koniec.

- Ojej!

- Tak. - Cynthia westchnęła. - Alfred wkleił do dziennika piosenkę, którą napisał dla ukochanej. - Przewróciła stronę i zmrużyła oczy, wpatrując się w pożółkłe słowa. „«Lady Jayne». Śpiewać na melodię «Zabierz mnie na bal»". Przygryzła policzek i zmarszczyła brwi. To nie był romantyczny klasyk. Potem zaczęła ni to śpiewać, ni czytać.

Droga Jayne.

Odchrząknęła i zaczęła jeszcze raz.

Droga Jayne,

Samotność boli mnie.

Jestem jak kruchy cień

Bez mojej lady Jayne.

Rick jęknął. Jego twarz wykrzywił ponury uśmiech. Cynthia próbowała śpiewać dalej, choć nie miała pojęcia, jak dopasować słowa do znanej melodii.

Cierpię co dzień

Gdy nie ma cię

Głuchy jak pień

Och, lady Jayne!

Rick parsknął śmiechem. Zaciśnął oczy i Cynthia zastanawiała się, jak może prowadzić w ten sposób samochód. Nieważne. Na razie szczęśliwie uniknęli wypadku. Było jej zbyt wesoło, by się martwić. Chcąc powstrzymać się od śmiechu, zaczęła po prostu czytać.

Och, lady Jayne

Pocałuj mnie

Raz dwa trzy

Otwórz mi drzwi

Buzi ci dam, gdy poślubisz mnie.

Teraz już oboje ryczeli ze śmiechu.

Przez chwilę wydawało się, że ich wrzask rozsądzi samochód, zwłaszcza gdy na „raz dwa trzy” klepali się po udach.

Rick wciągnął powietrze i otarł oczy

- No, tak. Teraz rozumiem, dlaczego jej ojciec chciał go zastrzelić.

Cynthia złapała się za brzuch i szturchnęła go, żeby natychmiast przestał.

Ale Rick nie miał zamiaru posłuchać.

- Pamiętam, że kiedy byliśmy dziećmi, dziadek tworzył czasem długachne ody z okazji świąt - wykrztusił w przerwie między atakami śmiechu. - Nie mogliśmy rozpakować prezentów, dopóki nie wysłuchaliśmy do końca. To była tortura. Śpiewał je zwykle na melodię jakiejś znanej piosenki, „Och, te indyki i sosy z podrobów”... - Cynthia aż krzyknęła z radości. - One nigdy nie miały sensu.

Znów zaczęli zarykiwać się ze śmiechu.

- No, wystarczy. Nie jesteśmy zbyt mili. - Cynthia szukała w kieszeniach chusteczki, żeby otrzeć załzawione oczy. - Myślę, że to urocze. Przyznaję, nie był poetą i wygląda na to, że szukał słów, które po prostu rymują się z Jayne. Ale się starał i trzeba to docenić.

Rick spojrział na Cynthię.

- Czy Graham pisał dla ciebie wiersze?

- Nie.

- Mhm.

- Och, a ty pewnie jesteś prawdziwym Longfellowem - zachichotała.

- Poradziłbym sobie lepiej - odparł, wskazując głową notatnik, który Cynthia trzymała w ręku.

- Chciałabym się przekonać - droczyła się.

- Z chęcią, moja złota - Zakręcił kierownicą, wjeżdżając na jedno z wolnych miejsc parkingowych przed ogromnym butikiem dla nowożeńców. - Kiedy mi przyjdzie ochota.

Oboje zaśmiali się z głupiego rymu.

- Ach, pewnie to wy jesteście tą szczęśliwą parą. Phillip Michael Allen nie miał miłej miny. - My...

- Spóźniliście się - stwierdził surowo.

- Mówiłem ci - szepnął Rick.

- Pięć minut. Wielka rzecz - mruknęła pod nosem. Niepewnie weszli do eleganckiego butiku, z ciekawością rozglądając się po ciemnym wnętrzu z olbrzymią ilością luster. Wszędzie widzieli swoje zwielokrotnione odbicia. Atmosfera była tak ponura, że Rick zastanawiał się, czy przypadkiem nie weszli do domu pogrzebowego.

- No dobrze. Nie gapcie się tak na mnie. Ofiaruję wam pozostałych dwadzieścia pięć minut mojego cennego czasu, a potem radźcie sobie sami. - Dwa szybkie klaśnięcia i momentalnie zjawili się jego asystenci.

- Dwadzieścia pięć minut? Dwadzieścia pięć sekund to za dużo dla tego klauna - wymamrotał Rick, ciągnąc Cynthię za ramię. - Chodźmy stąd.

- O ile pamiętam, to ty nalegałaś, żeby tu przyjechać - odburknęła, uwalniając rękę z jego uścisku. - Marcella na nas liczy. - Stała za nim i popchnęła go do przodu.

Uśmiechnął się z przymusem.

-Nie mogę zrobić zawodu Marcelli.

- Tak ją lubisz? - spytała złośliwie.

- Przestań. Mogłaby być twoją szwagierką - rzucił przez ramię. .

- Tak, ale wtedy musiałbyś ją całować. . - Jesteś zazdrosna?

-Nie. Tylko ja nie miałabym ochoty się z nią całować.

- Wcale się nie dziwię. - Zachichotali jak krnąbrne dzieciaki.

- Kolory? - Phillip Michael przeszył ich spojrzeniem. Wszyscy - łącznie z jego asystą - zamarli.

Cynthia i Rick popatrzyli na siebie zakłopotani.

Phillip Michael musiał powtórzyć pytanie, do czego nie zniżał się zbyt często. Wzruszając ramionami z powodu ich kompletnej ignorancji, przesyłabizował powoli, jakby edukował parę głupków.

- Ja-kie są wa-sze ko-lo-ry?

- Och... - Przerazona Cynthia mocno chwyciła Ricka za rękę. - Ja..

- Lubimy... - Rick przysunął się do Cynthii i zauważył, że ma na sobie pomarańczowożółty T-shirt i żółty wełniany żakiet. - Żółty? I... pomarańczowy? Można powiedzieć, kolory owoców.

Cynthia spojrzała na niego i otworzyła usta ze zdumienia. Kolory owoców?

Rick wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

Wydęte usta Phillipa Michaela wystarczyły za komentarz.

- Ty pierwszy - Phillip Michael warknął na Ricka.

-Ale ja...

Phillip Michael obrzucił go uważnym spojrzeniem.

- Długość czterdzieści dwa. Przynieście mu tego nowego Armaniego w kolorze oberżyny. Wasze kolory

właśnie się zmieniły. - Obrócił się i zlustrował Cynthię wzrokiem. - Halston! Karan! Von Furstenberg! Rozmiar sześć. Nnie, osiem.

Cynthia za późno wciągnęła brzuch.

Asysta Phillipa Michaela ruszyła do pracy. Wkrótce wokół leżało pełno smokingów i powiewnych sukien, a Cynthia i Rick przebierali się w swoich przymierzalniach.

Oddzielała ich olbrzymia przegroda z luster, więc nie mogli się zobaczyć, ale Rick słyszał szelest sukni i szepty asystentek, które pomagały Cynthii. On sam miał do pomocy dwóch ogolonych na łyso mężczyzn w rogowych okularach, czarnych golfach i spodniach wepchniętych w czarne motocyklowe buty. Po kolei zapinali i rozpinali jego smokingi.

- Dobrze. - Jeden z nich skinął głową, strzepując niewidoczny pyłek z ramion Ricka.

- Dobrze, dobre - zgodził się jego partner, unosząc brwi. Rick zerknął do lustra na ich zadowolone twarze, potem przejrzał się i musiał przyznać, że wygląda elegancko. Nigdy nie miał na sobie smokingu, więc zmiana z dżinsów była dramatyczna. Oczywiście, powinien się ostrzyć i ogolić. I wyjąć kolczyk, bo nie pasował do tego stroju.

Dotknął ręką ucha i gwałtownie potrząsnął głową. O czym, do diabła, on myśli? Przecież nie jest panem młodym. To nie jego smoking. Po co ma się strzyć albo golić, czy w ogóle przychodzić na to wesele?

- Niedobre? - Jeden z asystentów przejął się zdeprymowaną miną Ricka.

Rick wciągnął powietrze.

-Nie, nie... w porządku. Naprawdę.

-To dobrze!

- Ludzie! - Suchy głos Phillipa Michaela rozległ się przez interkom. - Kod akwamaryna. Są nasi następni klienci. Przed czasem! Przygotować salon B.

Asysta wyparowała jak kamforą a Rick i Cynthia zostali sami w przymierzalniach. Rick zdjął marynarkę i zastanawiał się, co robić dalej. Gwiżdżąc pod nosem, wsadził ręce do kieszeni i zaczął studiować instrukcję awaryjną, starając się nie myśleć o tym, czy Cynthia stoi teraz rozebrana tuż za ścianą z luster.

Taktyka obronna nie okazała się skuteczna.

- Cynthia? - szepnął.

- Tak? - dobiegł zza lustra jej niepewny głos.

- Co robisz?

- Nic takiego. Jak wyglądasz?

- Oficjalnie - odparł. - A ty? Cisza.

- Nie odpowiesz? Znów cisza.

- Och, daj spokój. Chyba nie jest aż tak źle.

Nie wytrzymał z ciekawości. Podeszedł do lustra i zajrzał od góry.

Widok zapał mu dech w piersi.

Cynthia wyglądała pięknie.

Krew zaszumiała mu w głowie. W ustach zrobiło się dziwnie sucho.

Od długiego trenu sukni do łagodnie zaokrąglonych bioder, od guziczków opinających gorset w talii aż po delikatny zarys szyi była zachwycająca. Włosy miała zaczesane do góry i spięte luźno kłamrą, a kiedy jego wzrok powędrował w kierunku jej twarzy, Rick zauważył łzy. Łzy?

Wszedł do jej przymierzalni.

- Co się stało? - Delikatnie otarł grzbietem dłoni mokre ślady na jej policzkach.

Pociągnęła nosem.



- Och, ja po prostu... - Wzruszyła ramionami. - Zawsze wyobrażałam sobie, że to będzie jak w bajce. Ale też myślałam, że... - Wierzchem dłoni otarła łzę. - Och, nieważne.

-Co sobie wyobrażałaś?

-Że mój... no wiesz... ukochany będzie ze mną.

-Nie może być tutaj.

-Nie. Nie może być ze mną.

Mięśnie na twarzy Ricka napięły się. Gdzie, do diabła, jest ten Graham? Co to za mężczyzna, który ucieka za granicę i zostawia samą taką piękną kobietę tuż przed ślubem? Graham nie zasługiwał na nią. Na litość boską, przecież on sam dbał o nią bardziej niż jej przyszły mąż. O wiele bardziej. Bardziej, niż miał do tego prawo.

- Przykro mi - wymamrotał.

Cynthia uniosła głowę i przyglądała suknię.

-W porządku. Wszystko się jeszcze ułoży.

-Jeśli to może cię pocieszyć - musiał odchrząknąć - wyglądasz bardzo pięknie.

-Tak myślisz?

-O, tak.

Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. Wyglądali jak młoda para u fotografa.

- Dziękuję. Ty też nieźle wyglądasz.

-Powiniennem się ostrzyc.

-Nie! - krzyknęła. - To znaczy - zmitygowała się - podoba mi się tak, jak jest. Z krótkimi włosami nie byłoby ci dobrze.

Nagle z tyłu posłyszeli jakiś hałas. Phillip Michael z asystentami weszli do przymierzalni. Phillip stanął jak wryty.

- Co wy robicie, na miłość boską?! - Zamachał rękami z oburzeniem. - Nie wiecie, że oglądanie siebie w strojach weselnych przed ślubem to śmierć?!

Równie poruszeni asystenci spoglądali na Cynthię i na Ricka.

- Nieważne. I tak już się stało. Nikt nie zabroni wam złożyć sobie przysięgi. - Pocierając dwoma palcami brodę, pochylił w zamyśleniu głowę - Mmmm. Mmm. Mmm. Muszę przyznać, że stanowicie piękną parę. To te stroje.

Asystenci pokiwali głowami.

Rick ujrzał, jak rumieniec oblewa twarz i policzki Cynthii.

- Ale my nie jesteśmy...

Phillip Michael zamachał rękami, ignorując słowa Ricka.

- Pocałuj pannę młodą - rozkazał. - Zrób nam tę przyjemność.

- Ale ona jest...

- No, dalej! - warknął kapryśny król mody i spojrzał z irytacją na zegarek. - Pocałuj ją, człowieku. Co ci jest?

Cynthia i Rick zaśmiali się nerwowo jak ludzie, którzy znaleźli się w bardzo niewygodnej sytuacji.

Myśląc, że zaraz skapitulują, cała asysta uśmiechnęła się szeroko, czekając z napięciem na pocałunek.

Nikt się nie ruszył.

Nawet Rick i Cynthia. Zapadła martwa cisza. Atmosfera zgęstniała. Cynthia zachichotała, wpatrując się w czubki butów. Rick obserwował sufit. Pozostali unieśli brwi, spoglądając na siebie ze zdziwieniem.

Phillip Michael głośno odchrząknął.

- Posłuchaj, człowieku. Nie będziemy marnować tu reszty życia. Pocałuj ją wreszcie. Co z wami jest, że każecie nam na wszystko czekać?

Rick spojrzał wyzywająco na Phillipa Michaela. Skoro domaga się przedstawienia, to będzie je miał.

Objął Cynthię w pasie i przyciągnął ją do siebie. Wszyscy zamarli. W pokoju zrobiło się bardzo cicho. Kiedy spojrzała na niego z błyskiem w oku i rozchyłonymi ustami, Rick nagle stracił pewność siebie.

Wczoraj oświadczyła mu, że ma się trzymać od niej z dala, nie wiedział więc, jak zareaguje dzisiaj. Ryzykował, że wymierzy mu policzek. Trudno. Było za późno. G wiele za późno.

Dla nich wszystkich.

Nie sposób było zatrzymać tego, co uruchomił Michael. Rick przesunął jedną rękę w górę gorsetu i szybkim ruchem wyjął kłamrę z włosów Cynthii, a one opadły lśniącą kaskadą aa ramiona.

Na razie nie przejawiała ochoty do walki.

Zanurzył dłoń w jedwabiste pasma i skierował jej twarz ku swojej.

Kiedy jego usta dotknęły jej warg, widzowie westchnęli chórem. Przez chwilę trwali tak, ledwie dotykając się wargami. Cynthia miała rację. Powinni trzymać się od siebie z dala, ale było to po prostu niemożliwe.

Rick czekał na jej sygnał. Drobne wygięcie w jego stronę wystarczyło. Objęła go w pasie, a on przyciągnął ją jeszcze bliżej.

I wtedy to się stało.

Kiedy jego usta delikatnie przywarły do jej ust - ciepłych i zapraszających - Rick zakochał się w Cynthii. Na zawsze. Z jej pocałunku odgadł, że z nią stało się to samo.

Ziemia usunęła mu się spod nóg. Płynął w powietrzu. Naelektryzowany. Zagubiony.

Pragnął, by nigdy nie skończyło się to radosne upojenie. Pocałunek trwał dalej, ciepły i miękki, a przy tym ostry i zmysłowy.

To nie mogło być kłamstwo. Wszystko było prawdziwe: jej przyspieszony oddech, bicie serca, uścisk rąk i spojrzenie spod półprzymkniętych powiek.

Dopiero po jakimś czasie któryś z asystentów nerwowo zachichotał.

- Wygląda na to, że będą żyli długo i szczęśliwie - oznajmił z powagą Phillip Michael.

Śmiech w końcu dotarł do uszu Ricka. Wolno oderwał wargi od ust Cynthii i zerknął na nią, łapiąc oddech.

Czy to możliwe? Znalazł ją. Swoją bratnią duszę. Tę, której szukał przez całe życie.

I była narzeczoną jego brata.

Nie mogąc pogodzić się z tym, że znowu zdradził nie tylko Grahama i Cynthię, ale i własne zasady, spojrział na nią z żalem.

- Przepraszam. Nie chciałem...

- Przestań. - Odepchnęła go od siebie.

Chciał ją zapewnić, że tylko on jest winny. Spróbował przyciągnąć ją do siebie.

- Przestań - powtórzyła jeszcze ostrzej. Natychmiast opuścił ręce.

Wzburzona Cynthia odwróciła się i wyszła, pozostawiając zebranych własnym domysłem.

Rick oblizwał wargi i zwrócił się do gapiów:

-To... to narzeczona mojego brata.

-Aha. - Phillip Michael skinął głową, jakby to wyjaśniało wszystko.

-Cynthia?

Z głową ukrytą w dłoniach siedziała na drewnianej ławce w przebieralni. Zza szpary w drzwiach dobiegał głos Ricka.

- Dobrze się czujesz, Cynthia?

Dobrze? Skoro zakochała się w bracie narzeczonego?

-Tak. - Z wysiłkiem powstrzymywała łzy. Patrzyła na piękną francuską suknię ślubną z szyfonu i koronki. Przesunęła rękę po wymyślnym wzorze z perełek na gorsecie, zastanawiając się, czy będzie mogła chodzić w niej do szkoły, bo limit wydatków na ubrania wyczerpała na dwa lata. - Tylko me mogę rozpiąć guziczków.

-Aha. Posłuchaj, wszyscy poszli obsłużyć tę drugą parę, więc jesteśmy tu teraz sami. Wpuść mnie, to ci pomogę.

Cynthia zerknęła na drzwi.

- To chyba nie jest dobry pomysł - odparła, pociągając nosem.

Rick odchrząknął.

- Nie możemy tu siedzieć przez cały dzień. Phillip Michael nas zabije. Obiecuję, że będę grzeczny.

Tak, ale czy ona może obiecać, że będzie grzeczna? Wciąż palił ją wstyd, że tak ochoczo rzuciła się w ramiona Ricka. Tak jakby naprawdę wierzyła, że to ich ślub i że z tym mężczyzną spędzi resztę życia.

To było takie przyjemne...

W tym jednym pocałunku odnalazła siebie. Nie mówiąc o szczęściu, jakie byłoby jej udziałem, gdyby weszła do klanu Wingate'ów dzięki małżeństwu z Rickiem.

Przez całe życie słuchała, jak jej koleżanki opowiadają o swoich miłościach. Były takie szczęśliwe, że się zakochały. A ona? Kiedy poznała Grahama, nie czuła żadnych fajerwerków. Cały czas stała twardo na ziemi. Z dumą myślała, że jest taka zrównowazona. Była pewna swojej przyszłości. Nie przeżywała żadnej euforii, najwyżej miły stan zadowolenia z posiadania narzeczonego.

Ale nawet to zniknęło, kiedy umarł Alfred.

A teraz?

Po tym, co przeżyła w ramionach Ricka, mogła sobie wyobrazić wszystkie ukryte uroki życia. Prawdziwe tajemnice wszechświata. Teraz rozumiała najsmutniejsze teksty miłosnych piosenek.

-Cynthia? Wpuścisz mnie?

-Szybko otarła chusteczką oczy.

-Tak. Możesz wejść - odparła słabym głosem. Kiedy go zobaczyła, znów poczuła, że traci głowę.

Jej oddech stał się płytki, a puls przyspieszył. W głowie miała pustkę. Było tak, jak opowiadały koleżanki.

- Odwróć się. Rozepnę ci guziki - powiedział Rick matowym głosem.

Bez słowa zgodziła się. Stała, obserwując w lustrze, jak zmaga się z trudnym zadaniem.

- Przepraszam za ten pocałunek - rzucił nagle. - To moja wina.

Znów zranił ją prosto w serce.

- Przestań, Nie musisz mnie wciąż przepraszać.

Spotkała jego spojrzenie w lustrze.

- Och. - Schylił głowę i dalej odpinał guziki. - W każdym razie nie powinienem był wykorzystywać sytuacji, choć oczywiście zostaliśmy sprowokowani. - Odchrząknął, wzruszając ramionami. - Może oboje zapomnimy o tym?

Cynthia zamknęła oczy i przełknęła ślinę. Czy on potrafiłby o tym zapomnieć? Żołądek skurczył się boleśnie. Ona nigdy nie zapomni tamtej chwili. Ale to był brat Grahama, a nie jej narzeczony, więc mogła tylko kiwnąć głową.

Palce Ricka opuszczały się coraz niżej. Jego oddech nieco zmierzwił jej włosy. Pewnie Rick odetchnął teraz z ulgą. Kiedy wyswobodzi ją z sukni, będzie mógł odwieźć ją do domu i uciec. Miłość bez wzajemności jest gorzka.

- Cynthia? - Jego głos zabrzmiał jakoś dziwnie. - Zanim zapomnimy o wszystkim, co było między nami, muszę wyjaśnić jedną rzecz. Nie rozumiem, dlaczego Graham nie jest teraz przy tobie. Gdybym ja był twoim narzeczonym, nie odstąpiłbym cię na krok. Na pewno bym nie wyjechał. To bardzo źle, jeśli przedkłada się interesy nad rodzinę.

- A gdzie byłeś, kiedy umierał Alfred? - rzuciła mu w twarz. Cierpienie sprawiło, że stała się okrutna.

Rick wzdrygnął się. To było jego czułe miejsce.

- Masz rację. Ale nauczyłem się wtedy, co jest najważniejsze. Nigdy nie powtórzę tego błędu.

Cynthia opuściła głowę. Nie powinna go atakować. Widać było, że Rick żałuje tego, co się stało.

- Ale tu chodzi jeszcze o coś innego. Graham ma zostać twoim mężem. Jednak zawsze, kiedy was widziałem razem, kłóciliście się. To mnie martwi.

- Tak jak i my się kłócimy, co?

- Nie - zaprotestował. - Wcale nie tak jak my. Przełknęła ślinę. Nie potrzebowała jego współczucia.

-Nie mogę zrozumieć, jak śmiał cię zostawić tuż po śmierci Alfreda. I tuż przed ślubem. Zawsze był egoistą, ale teraz przeszedł sam siebie. Gdzie on jest, Cynthia?

-Nie mogę... ci powiedzieć.

- Dlaczego? - Rick potrzęsnał jej ramieniem. Właśnie, dlaczego? Czowała, że traci zdolność myślenia. Znów ich oddechy stały się płytkie i przyspieszone. Znów ich ciała zapragnęły tego, co zakazane. Znów walczyli z rzeczywistością.

- Bo Graham... Bo on... - Cynthia nade wszystko pragnęła zwierzyć się Rickowi. Powiedzieć mu o zerwaniu zaręczyn. Paść w jego ramiona i wyznać, co naprawdę czuje. Ale nie mogła. Chciała dotrzymać słowa, które dała Grahamowi. Przecież obiecała. Poza tym to dotyczyło zbyt wielu ludzi. Katherine, Harrison, Marcella, a teraz Phillip Michael. Co będzie, kiedy wszystko wyjdzie na jaw?

Miała nadzieję, że wtedy Graham będzie przy niej. Rick raptownie puścił jej ramię, przesunął ręką po twarzy i cofnął się o krok.

- Nie chcę nic wiedzieć. To, co dzieje się między wami, to nie moja sprawa. - Uderzył dłonią we framugę drzwi.  
- Zaczekam na ciebie na zewnątrz - powiedział i zniknął.

Rick siedział w samochodzie i patrzył, jak Cynthia wchodzi do domu Alfreda. Nie miał powodu martwić się o nią teraz, gdy weszła do środka i włączyła system alarmowy. Jego zadanie polegało tylko na tym, by bezpiecznie zawieźć ją na miejsce.

Była narzeczoną Grahama.

Teraz powinien zająć się własnymi sprawami.

Łatwo powiedzieć.

Już za późno. Puszka Pandory została otwarta. Po wizycie w butiku Phillipa Michaela ich wzajemna fascynacja nie budziła wątpliwości.

Rick pragnął Cynthii.

Tak samo jak ona jego.

Ale Graham miał nad nią jakąś władzę. To nie była miłość.

Jednak skoro tak jest, jak może pozwolić, żeby to małżeństwo doszło do skutku?

Zacisnął palce na kierownicy. Graham. Jego zawsze samolubny młodszy brat załatwia interesy w Europie. Rick gotów był się założyć o każdą sumę, że w tej chwili zabawia się z jakąś kobietą. W Paryżu był teraz środek nocy.

Rick spojrzał na światło lampy w oknie dawnego, apartamentu Alfreda. Łagodny blask zamienił się w płomienie. Ogarnęła go wściekłość na brata.

Próbując zdusić w sobie furję, włączył silnik i ruszył alejką. Jeśli Graham nie pojawi się wkrótce, sam pojedzie go poszukać.

I nie powie mu nic miłego.

Cynthia siedziała na łóżku, trzymając Rosy na kolanach. Patrzyła przez okno, jak światła samochodu Ricka znikają we mgle. Z ciężkim sercem przeczeswała palcami sierść buldoga. Rosy polizała ją po rękach, tak jakby wyczuwała jej ból.



- Co ja zrobiłam, Rosy? - wymamrotała. - Zakochałam się w mężczyźnie, który nie jest dla mnie

Pies zaskowyczał i przewrócił się na plecy, wystawiając do drapania brzuch.

- Pytasz dlaczego? Dlaczego nie jest dla mnie? Po pierwsze, najpierw byłam zaręczona :/, jego bratem. Potem odziedziczyłam dom, o którym marzyła jego matka. To bardzo ją zraniło, choć nie dała nic po sobie poznać. Potem zerwałam z jej ukochanym synem. A kiedy wszyscy myślą, że szykuję się do ślubu z Grahamem, mam romans z jego starszym bratem.

Cynthia westchnęła. Rosy nie mogła uwierzyć, że jej pani zachowała się tak podle.

- Jestem wredna. - Cynthia podrapała psa po brzuchu. - Alfred byłby przerażony. Jedyny człowiek, który nie jest ode mnie lepszy, to mój eksnarzeczony.

Sięgnęła po słuchawkę telefonu.

-Nie sądzisz, że pora do niego znów zadzwonić, Rosy? Pies zawarczał.

-Mhm. Czuję to samo.

Telefon zadzwonił, kiedy trzymała rękę na słuchawce. Zmarszczyła brwi.

-Halo?

-Cynthia? Tu Katherine, skarbie. Jak udała się przymiarka?

-Przymiarka? Och, świetnie.

-To cudownie. Słuchaj, kochanie. Chcę cię zaprosić w piątek wieczorem na kolację. Harrison i ja wybieramy restaurację na twoje przyjęcie. Mamy kilka propozycji. Potrzebna mi twoja aprobata. Restauracja „Chez Moustache”. Słyszałaś o niej?

-Ja... Och, nie.

-Nie szkodzi. Spodoba ci się na pewno. Znakomita francuska kuchnia, tak mówi Marcella. Nie pracujesz w piątek, prawda?

-W ten piątek? Nie.

- Świetnie. Rick przyjedzie po ciebie o wpół do siódmej. - Och, Katherine. To naprawdę nie jest konieczne.

- Harrison i ja nie chcemy, żebyś błąkała się po nocy swoim wozem. Dobrze, kochanie. Piątek, wpół do siódmej.

I Katherine bez ceregieli odłożyła słuchawkę.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

„Chez Moustache” było uroczym francuskim bistrem, przytulnym, ale wystarczająco dużym, żeby urządzić w nim wesele. Katherine, Harrison, Rick i Cynthia siedzieli przy zacisznym stoliku przy oknie z widokiem na piękne jezioro. Liczne statki przepływały powoli jak dryfujące wesołe miasteczka oświetlone tak, że wzbudzały zachwyt. Słodkie tony muzyki i szmer rozmów wzmacniały przedświąteczny nastrój. Pośrodku sali w gigantycznym kominku trzaskał ogień, a wszędzie dokoła błyszcząły dekoracje i światełka.

Najlepszy nastrój miała w tej chwili Katherine.

Zachwycona każdym drobiazgiem, chwaliła fantastyczną obsługę, piękny wystrój, wyborne jedzenie i eleganckiego szefa. Jej oczy błyszcząły, a policzki zaróżowiły się z wrażenia. Choć Cynthia wiedziała, że Rick był równie niechętnie nastawiony do dzisiejszego spotkania jak ona, oboje cieszyli się z dobrego humoru Katherine. A Harrison? Od dwóch tygodni promieniał radością. Dokładnie od chwili, gdy jego żona zaczęła organizować wesele.

Choć Cynthia przez cały wieczór starała się nie zapomnieć o rzeczywistości, marzenia Katherine okazały się zaraźliwe dla wszystkich. Ona i Rick znów zapomnieli, że mają zachowywać dystans. Rozmowa dotyczyła spraw rodzinnych i Cynthia odnosiła miłe wrażenie, że znajduje się w kręgu najbliższych.

Do chwili, gdy Phillip Michael Allen znalazł się przy ich stoliku.

- Wingate? - upewnił się.

- Tak - potwierdziła z uśmiechem Katherine.

- Phillip Michael Allen. - Wyciągnął rękę i lekko uścisnął dłoń Katherine, a potem Harrisona. - Przygotowuję stroje na wesele pani syna.

Cynthia zerknęła niespokojnie na Ricka, który zaczął nagle zmagać się z guzikiem przy kołnierzyku.

- Co za wspaniały zbieg okoliczności! - Katherine wskazała gestem puste krzesło przy stoliku. - Proszę się do nas przysiąść.

Rick zaczął kaszleć. Cynthia uderzyła go po plecach.

- Och, nie, nie, nie. Dziękuję. Czeka na mnie moja matka. Chciałem tylko powiedzieć, że ma pani bardzo kochającą się rodzinę.

Rick zaczął się dusić i Cynthia podała mu szklanę wody.

- Jak miło, że pan to mówi. - Zachwycona Katherine chyba nie widziała, że jej pierworodny syn dusi się z braku tlenu.

- Tak. - Phillip Michael Allen przeszył Ricka spojrzeniem. - Jeszcze nie widziałem tak oddanego brata. Ja i moi asystenci nigdy nie zapomnimy tego spotkania z pani synem i jego... mm... - Pomachał ręką w kierunku Cynthii - I panną młodą. Suknię i smoking dostarczymy w poniedziałek po południu, bo trzeba było dokonać małych poprawek. Najpóźniej we wtorek rano.

-Och, dziękuję, panie Allen, że zechciał pan poświęcić nam swój czas i uwagę.

-Bardzo proszę. I proszę pamiętać o mnie, kiedy będzie pani wysyłać zaproszenia, bo po prostu muszę zobaczyć końcowy efekt.

- Och! - Katherine z ożywieniem klepnęła Phillipa Michaela po rękę, a potem spojrzała radośnie na Cynthię i Ricka.

- Ślub odbędzie się za tydzień. Dzień przed Wigilią to jedyny termin, kiedy można zastać wszystkich w mieście. Może pan w to uwierzyć?

- Czy mogę? Ależ wierzę. Ja też uwielbiam się bawić. Moja matka przyjechała tu z Santa Fe i oczekuje, że będzie się ją traktować jak królową angielską.

- Proszę koniecznie przyjść z nią na wesele! Wysłałam już wszystkie zaproszenia, ale zaraz przygotuję i dla państwa. Cynthia aż zachłysnęła się z wrażenia i także zaczęła kaszleć. W całym zamieszaniu zapomniała, że trzeba zaprosić gości.

Katherine wydawała się nic nie zauważać i ciągnęła dalej:

- Marcella powiedziała, że jeśli nie zrobię tego od razu, to zaproszenia mogą nie dojść na czas.

- Czy ty... - Teraz Cynthia zaczęła, dławiąc się od kaszlu.

- Czy już wysłałaś zaproszenia?

- Oczywiście, kochanie - zaśmiała się Katherine. - Jeśli chcesz zaprosić jeszcze kogoś, musisz to zrobić sama. I nie dziękuj mi, skarbie. To była dla mnie wielka przyjemność.

- Graham! Ona już wysłała zaproszenia!

Cynthia owinęła sznur od telefonu wokół palca, który zrobił się prawie fioletowy.

Przerażona głosem pani Rosy zeskoczyła z łóżka i uciekła z podkulonym ogonem.

- Dziwię się, że na to pozwoliłaś, Cynthio!

Po wielu próbach tego wieczoru Cynthia złapała wreszcie Grahama w jego paryskim hotelu. Jak jej zakomunikował, jadł właśnie śniadanie z klientem.

-Czy to moja wina? Przecież obiecywałeś, że wrócisz jak najszybciej.

-I wrócę - odparł zniecierpliwiony.

- Kiedy? - Cynthia mocniej ścisnęła słuchawkę. - Powiedz, kiedy? Data, godzina, numer rejsu!

-Właśnie to ustaliam.

-Graham, nasz ślub ma się odbyć w tę sobotę rano. Białe gołębice i tak dalej. Jeśli do jutra nie wrócisz i nie wytłumaczysz wszystkiego swojej rodzinie, powiem im, że zerwaliśmy zaręczyny, ale kazałeś mi trzymać język za

zębami. A potem obiecuję, że pokryję wszystkie koszty, które ponieśli twoi rodzice, a ty mi w tym pomożesz.

- Nie.

- Tak!

- Cynthia, proszę. - Westchnął. -  
Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale kocham rodziców. .

-No i?

Zwlekał z odpowiedzią i Cynthia zastanawiała się, czy czegoś nie knuje. Może okłamuje ją tak, jak okłamywał wszystkich wokół? Przegarnęła ręką włosy i mocno zacisnęła oczy.

- Jak możesz ich okłamywać, skoro ich kochasz?

- Ale... - Westchnął. - Nie uważam tego za kłamstwo.

Cynthia zaniemówiła. I ona kiedyś uważała go za uczciwego człowieka?

-W takim razie powiedz, co to według ciebie jest.

-Cynthio, jesteś moją pierwszą narzeczoną, którą pokochali. Dzięki temu kochają mnie teraz bardziej.

Cynthia przygryzła dolną wargę.

- Zawsze ich rozczarowywałem. To Rick był doskonały. Dzięki tobie wszystko się zmieniło. Teraz są ze mnie dumni. Ty sprawiłaś, że odzyskałem ich szacunek.

Cynthia wciągnęła głośno powietrze i policzyła do dziesięciu. Bała się, że powie coś, czego będzie żałowała.

Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że Graham jest jeszcze większym sierotą niż ona. Miał rodzinę, ale brakowało mu poczucia własnej wartości. Jako dziecko był zbyt dużym wyzwaniem dla niedoświadczonych i zaabsorbowanych sobą rodziców. Ricka uczyniło to silnym i niezależnym, ale nie jego. On nieustannie szukał akceptacji. I nie mógł jej znaleźć, bo nic akceptował samego siebie.

Niestety, Cynthia nie umiała mu pomóc. Rodzice przestawali okazywać mu miłość, kiedy tylko nie spełniał pokładanych w nim nadziei.

Powoli wypuściła powietrze.

- Tak, ale zastanów się, za jaką cenę chcesz zdobyć ten szacunek? Ja... ja cię nie kocham.

Graham milczał. Cynthia przycisnęła mocniej słuchawkę do ucha, chcąc usłyszeć choćby jego oddech. Żałowała, że muszą rozmawiać przez telefon. Wołałaby go widzieć. Wprawdzie nie traktował jej najlepiej, ale przecież miał leż swoje zalety. Nie chciała go ranić.

- Nie kocham cię jak narzeczonego - dodała cicho. - Raczej jak brata.

- Czy to nie wystarczy?

- Nie! - wykrzyknęła z rozpaczą. - Ty też mnie nie kochasz. I dobrze o tym wiesz.

- Ale moja matka jest szczęśliwa. To dzięki mnie wyrwała się z depresji.

- Nieprawda!

- I tata cieszy się z tego. Mówił mi to przez telefon, Cynthia. Jest ze mnie dumny. Po raz pierwszy w życiu jest naprawdę dumny.

- Graham, czy nie rozumiesz, że kiedy matka dowie się o wszystkim, wpadnie w jeszcze większą depresję niż kiedyś? A ojciec będzie rozczarowany!

- Niekoniecznie. Jeśli wyjdiesz za mnie.

- Uderzyła dłonią w słuchawkę.

- Nie wyjdę.

- Nie musimy się kochać, żeby się pobrać. Będę się o ciebie troszczyć. Niczego ci nie zabraknie.

Oprócz miłości. Wierności. Namiętności.

- Nie! Nigdy! Wbij to sobie do głowy. Wracaj i powiedz o wszystkim matce. Albo ja to zrobię.

Graham milczał przez dłuższą chwilę.

- Dobrze - odparł w końcu. - Zadzwoń i powiem ci, kiedy wracam. Ale na razie nie mów nic ojcu ani matce. Proszę, Cynthia. Odziedziczyłaś dom po dziadku. Możesz chyba poczekać jeszcze kilka dni, zanim złamiesz im serce po raz drugi.

Cynthia odsunęła słuchawkę od ucha. To był szantaż. - To przyniesie wstyd mojej rodzinie.

-A czyja to wina?

-Częściowo i moja.

-Częściowo? - Cynthia pomyślała o jaskrawej szmince na jego brodzie.

-W każdym razie - ciągnął Graham - pozwól, żebym przynajmniej tam był, kiedy wybuchnie bomba.

-Dobrze. Będziesz bohaterem. - Usiadła i odgarnęła włosy z twarzy. - Ślub ma się odbyć w sobotę. Jeśli nie chcesz, żebym zostawiła cię przed ołtarzem - a nie myśl, że tego nie zrobię - wracaj i zerwij ze mną! Oficjalnie!

Rzuciła słuchawkę i położyła się na łóżku. Mogła tylko mieć nadzieję, że Graham choć raz będzie słowny.

Kolejne dni upływały na bezsensownych przygotowaniach do ślubu i niekończącym się oczekiwaniu na Grahama.

Nie zjawił się.

Miał kłopoty z załatwieniem biletu. Poza tym wciąż jeszcze nie skończył interesów.

Była już środa. Próba i kolacja miały się odbyć w piątek. Ślub w sobotę.

Cynthia próbowała znaleźć sobie zajęcie, porządkując zawzięcie liczne szafy, kufry i pudła Alfreda, jego listy, dzienniki, wycinki z gazet. Tiffany pomagała jej chętnie, jeśli nie była w pracy i nie zajmowała się dzieckiem.

Tego popołudnia siedziały razem na poddaszu, dyskutując o życiu Alfreda i porównując jego problemy ze swoimi.



- No i co? - spytała Tiffany, wyjmując stare zdjęcie z brudnych rączek Honda. - Chcesz powiedzieć, że szykujesz się do ślubu? Myślałam, że zerwałaś ze swoim kłamczuszkiem.

Cynthia ukryła twarz w dłoniach.

- Tak - jęknęła.

- To po co to wszystko?

- To... to długa historia. Powiem ci tylko, że Graham kazał to trzymać w tajemnicy, żeby nie zranić matki. Po śmierci Alfreda Katherine wpadła w depresję, a i tak zawsze była słaba psychicznie. Poza tym Graham był już wiele razy zaręczony i wszystkie jego związki się rozpadły. Matka cieszyła się, że tym razem będzie inaczej. On jest maminsynkiem i nie może się narazić mamie. Dlatego to wszystko spadło na mnie. - Cynthia spojrzała na koleżankę, opierając łokcie na kolanach.

- A ponieważ ja nie umiem odmawiać ani ranić ludzi, stąd ten okropny bałagan.

Tiffany skinęła poważnie głową.

- Waśnie widzę. Miałam to samo z ojcem Honda.

- Naprawdę?

- Mhm. Mieliśmy się pobrać przed urodzeniem małego, ale Monk znalazł sobie nową dziewczynę. Nie chciał, żeby jego matka dowiedziała się o tym, więc zaplanowaliśmy ślub, kupiłam sukienkę, ale on uciekł. Jego matka wyrzuciła mnie i Honda z domu. Moja matka też nas nie chce. - Spojrzała z uwielbieniem na synka. - Mam nadzieję, że nie będę taką wiedźmą dla własnego dziecka.

Cynthia uśmiechnęła się.

- Na pewno nie. Kiedyś spotkasz swojego księcia i będziecie żyć jak w bajce.

- Tak jak ty?

- Ja?

- Z Rickiem.

- Nie! - Krew napłynęła jej do twarzy.

- Dlaczego? Przecież się kochacie. Wszyscy o tym wiedzą,

- Tiffany podniosła do oczu list Alfreda. - Nie zrób tak jak ta głupia Jayne tylko dlatego, że ktoś sobie tego życzy.

- Och, coś mi się przypomniało. Czy możesz posiedzieć trochę z Rondem dziś po południu?

- Znowu? Tiffany - Cynthia wytarła oczy, zostawiając na policzkach czarne smugi. - Nie umiem sobie radzić z dziećmi. Kiedy wychodzisz, Hondo ma zawsze atak. Chyba mnie nienawidzi.

- Spojrzała na chłopca, który właśnie starał się wspiąć na belkę.

- Ależ on cię kocha - powiedziała błagalnie Tiffany. - Mówił mi.

- Przecież nie umie mówić. - No tak, znów nie odrobi ćwiczeń z hiszpańskiego i japońskiego. Nigdy nic nie osiągnie, jeśli nie będzie miała ciszy i spokoju.

Najbardziej brakowało jej spokoju. Cóż, sama sobie była winna. Nie mogła mieć pretensji do Grahama za to, że był słaby. Wiedziała, że taki jest, ale nie zwracała na to uwagi ze względu na Alfreda. Tak bardzo chciała mieć rodzinę.

Przynajmniej dzięki temu dowiedziała się, że uczciwość jest więcej warta niż chwilowe szczęście. Na Nowy Rok złoży przyrzeczenie. Uczciwość za wszelką cenę.

Nawet jeśli miałyby to zranić czyjeś uczucia.

Cynthia westchnęła. Naprawdę nie miała ochoty siedzieć z Hondem. Ale jeszcze nie nadszedł Nowy Rok. Jęknęła, bo Hondo właśnie stoczył się z belki i uderzył w głowę. Jego krzyk rozdarł powietrze.

Tiffany podniosła synka i zaczęła huśtać.

- Co mam zrobić, Cynthia? Muszę iść na zakupy przed świętami. Naprawdę nie ma sensu, żebym ciągała go po sklepach. Tylko ty możesz mi pomóc.

Cynthia zamknęła oczy. Te słowa. Pamiętała je z dzieciństwa. Dlaczego zawsze tylko ona mogła pomóc?

Ale w samotności zadreńczy się myślami o Ricku. Odsunęła z czoła włosy, które wyslizgnęły się z końskiego ogona.

- Dobrze. - Kiwnęła z rezygnacją głową.

Tiffany zerwała się na równe nogi i zapiszczała z radości.

-Dzięki, dzięki, dzięki! Będę w centrum handlowym. W razie czego wyślij do mnie sms.

-Jest już ciemno. Kto cię zawiezie?

- Trent ma cztery kółka. Powinien tu zaraz być.

- Trent? - Cynthia usłyszała niezadowolone w swoim głosie. - Już się umówiłaś?

Z alejki rozległ się klakson.

- Miałam nadzieję, że się zgodzisz. To Trent. Muszę pędzić.

- Wróc przed dziewiątą! - krzyknęła Cynthia, bo Tiffany była już na schodach. - Będę się martwić!

- Dobrze! Cynthia?

- Tak?

- Kocham cię.

Cynthia uśmiechnęła się.

Wtedy usta Honda zaczęły drgać. Oho! Popatrzył na drzwi, za którymi zniknęła matka, potem na Cynthię. Łzy potoczyły się z jego oczu. Po kilku sekundach płakał tak głośno, że aż brzęczały szyby.

- Hej, Hondo! Mama zaraz wróci. Nie płacz. Może jesteś głodny? Albo śpiący? Albo się zmoczyłeś? Nic mi nie powiesz, więc sama muszę sprawdzić.

Cynthia pomyślała, jak dobrze byłoby znaleźć się teraz w podróży poślubnej na Bahamach. Ale bez Grahama. Hondo wciąż wrzeszczał. Otworzyła lodówkę w kuchni. Pusta. Ojej! Trzeba zrobić zakupy. Przyjrzała się zwiędłym marchewkom w dolnej szufladzie i pożałowała, że już pozwoliła służbie iść do domu.

- Mleko, mleko, mleko - mamrotała pod nosem, a Hondo nie przestawał ryczeć. - Nie ma mleka. Jak to możliwe? - Zaczęła przeszukiwać szafki. - Hm. A może masz ochotę na mleko w proszku? Na pewno tak.

Hondo spojrział na nią. - Dobrze. Spróbujmy.

Trzymając dziecko na biodrze, przeczytała instrukcję na pudełku. Potem wymieszała mleko z wodą i nalała trochę do kubeczka.

- Mm! Pyszne! - Uśmiechnęła się promiennie. - Spróbuj, jakie dobre. Widzisz, jak ciocia Cynthia lubi mleko? - Udała, że pije z kubka.

Hondo nie dał się nabrać.

- Rozszyfrowałeś mnie? Dobrze. - Cynthia pociągnęła łyk i zmusiła się, by nie wypluć mleka do zlewu. - Pycha! - Przystawiła kubeczek do ust Honda. - Spróbuj.

Hondo wrzasnął i stracił kubek na podłogę

- No dobrze. Nie jesteś głodny. A może mokry? Zniosła chłopca do pokoju Tiffany i położyła go na łóżku.

Potem zmieniła mu pieluchę i posypała pupę talkiem.

- Dobrze. - Cynthia przyjrzała się pieluszce z materiału i dwóm agrafkom z kaczuszkami. - Musisz być cierpliwy, bo nigdy nie widziałam takich pieluszek. Mm, to trochę dziwne...

Hondo nagle zamilkł. To nie był dobry znak. Jego twarz zrobiła się purpurowa. Zesztywniał.

Cynthia zmarszczyła brwi. Co się stało? Tak dziwnie oddychał, długo i powoli. Nagle wydał z siebie okropny

wrzask. Na jego jedwabistym brzuszku pojawiła się czerwona kropelka.

Cynthia ukuła go agrafką z kaczuszką.

Przerażona przytuliła krzyczącego i wierzgającego chłopca.

- Och, kochanie! Przepraszam. Wybacz mi. Cicho, proszę. - Rozejrzała się, czy nie pojawiła się już policja, by ją natychmiast aresztować za znęcanie się nad dzieckiem.

- Może włożymy piżamkę i pójdziemy spać? Drżącymi rękami próbowała zdjąć dziecku przez głowę koszulkę. Mały zaczął płakać jeszcze głośniej. O Boże. Jego głowa była taka wielka, a wycięcie w koszulce takie malutkie. Co to? Krople potu wystąpiły jej na czoło. - Już, kochanie. Ciocia Cynthia próbuje... - Kręgosłup zabolął ją, kiedy podniosła dziecko, próbując uwolnić je ze śmiertelnej pułapki z bawełny.

Kiedy Hondo przestał cokolwiek widzieć, zaczął po prostu szaleć. Wtedy Cynthia spanikowała.

Nożyczki. Potrzebne są nożyczki. Musi rozciąć tę głupią koszulę. A potem napisze list do tych, którzy robią takie niebezpieczne ubranka dla dzieci!

Do tego wszystkiego zadzwonił telefon. Do diabła - ! Najlepiej, żeby to był lekarz.

- Halo! - warknęła do słuchawki.

- Cynthia?

-Przepraszam. Musisz mówić głośniej. Tu jest hałas.

-To ja, Rick. Co się stało?

- Wszystko! - Wybuchnęła płaczem. - Nie, Nie wiem. Nie znam się na tym.

- Na czym?

- Na... dzieciach. - Szlochała przez chwilę, zanim zdołała się uspokoić. - On jest w pułapce... krwawi... To moja wina!

-Zaczekaj. Zaraz u ciebie będę.

-Nie! Nie chcę...

W słuchawce rozległ się sygnał.

- Przestań się martwić. To tylko drobne skaleczenie.  
On płakał ze zmęczenia, a nie z bólu.

- Naprawdę?

- Tak. A te haftki na jego koszulce są tak małe, że nikt by ich nie zauważył.

- Oczywiście. - Cynthia opadła na poduszkę na łóżku Tiffany i przyglądała się, jak Rick kołysze dziecko.

Spało przytulone do jego piersi. Tłuste piąsteczki spoczywały na szyi Ricka, a z rozchyłonych różowych ust sączyła się ślina. Czarne rzęsy rzucały cienie na gładkie, okrągłe policzki.

Mały cherubin, pomyślała ze wzruszeniem.

- Nie umiem zajmować się dziećmi - stwierdziła, kręcąc głową.

- Wystarczy trochę praktyki.

- Wykluczone.

- To jak poradzisz sobie z własnymi dziećmi?

- Nie mam pojęcia. Podobno z własnymi jest inaczej.

Liczę na to.

- Ach, tak. Ile chcesz mieć dzieci?

- Myślałam, że najpierw jedno, a jeśli się uda... tuzin.

- Tuzin? - Rick roześmiał się głośno.

- No dobrze. Może wystarczy sześcioro. Ale chcę mieć dużą rodzinę. Dużo bliskich mi ludzi.

- Rozmawiałaś o tym z Grahamem?

Z Grahamem? Nigdy nie myślała o nim jak o ojcu swoich dzieci. Nie nadawał się do tego. Wstała i podeszła do okna.

- Nie, ale nie martwię się o niego. Kiedyś będę miała dużo dzieci. - Czowała na sobie wzrok Ricka. - Byłam jedynaczką.

Potem tułałam się po różnych rodzinach zastępczych. To było smutne. Bardzo smutne.

- Rozumiem cię - odparł cicho.

- Czyżby? Masz mamę i ojca. I brata.

Spojrzała mu w oczy.

I brata.

- Prawdziwa rodzina. - Wzruszył ramionami. - Kiedy byłem mały, chcieli dla mnie jak najlepiej, ale wiele mi brakowało.

- Naprawdę? To zabawne. Nigdy nie pomyślałabym tak o Wingate'ach.

- Za pieniądze nie kupi się uczuć. Choć mama i tata są wspaniali i bardzo się kochają, nie mieli pojęcia, jak wychowywać dwóch łobuziaków, którzy im się urodzili. Załatwili to tak, że posłali nas do szkół z internatem. W lecie wyjeżdżaliśmy na obozy i do krewnych. Miałem więc rodziców, ale nie znałem ich dobrze. Tak jest do dzisiaj. Czuję się osamotniony. Graham przeżywał to nawet bardziej niż ja. Nadal próbuje przekonać ojca, że jest godny nazwiska Wingate'ów. Myślę, że wciąż marzy, że ojciec pójdzie kiedyś pograć z nim w piłkę. - Rick westchnął. - Ale tak nie będzie. Harrison nie jest takim facetem. Graham musi się z tym pogodzić. I dorosnąć. Przepraszam, że tak mówię. To twój narzeczony...

- Och, nie szkodzi.

Hondo poruszył się w ramionach Ricka.

- Jest słodki - powiedział Rick, przyglądając się małemu. Cynthia westchnęła.

- Teraz.

Rick pochylił się i delikatnie pocałował dziecko w czoło.

- I pachnie talkiem.

- Uczę się.

Kontrast między potężnym mężczyzną i malutkim chłopcem był taki wzruszający, że Cynthia poczuła ucisk w gardle. Rick był naprawdę porządnym człowiekiem. Taki delikatny i łagodny w obcowaniu z dziećmi! Hondo od razu przestał płakać, gdy wziął go na ręce i pogłaskał po plecach. Cynthia знаła to uczucie.

Rick Wingate miał w sobie siłę, która dawała radość. Na pewno jest znakomitym lekarzem. Kiedy patrzyła, jak kołysze Honda, wyobrażała sobie, jaki dobry będzie dla swoich dzieci. Ciekawe, że nigdy nie pomyślała tak o Grahamie.

Wiele rzeczy przychodziło jej do głowy po raz pierwszy.

Dokładnie za pięć dziesiąt Tiffany wróciła do domu.

-Cyn! - zawołała, zdejmując kurtkę w holu. - Już jestem!  
Wbiegła po schodach na górę.

-Cyn! Hondo!

Cisza. Najpierw zajrzała do swojego pokoju, a gdy zobaczyła, że jest pusty, pobiegła do pokoju Cynthii.

Przyjaciółka leżała zwinięta w kłębek na starym łóżku Alfreda, Hondo na jej brzuchu, a z tyłu pochrapywał cicho Rick. Na łóżku było pełno książek i zabawek. Wyglądało na to, że zasnęli, bawiąc się z Hondem.

Tiffany uśmiechnęła się i przykryła całą trójkę kocem. Potem zgasła światło i wyszła na palcach z pokoju.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Cynthia była w niesłychanie dobrym humorze.

Podmuchała na kawę w kubku, rozpamiętując dzisiejszy ranek. Wokół rozbrzmiewał gwar rozmów. Mmm, tak. To był jeden z najszcześniejszych momentów w jej życiu. Kiedy obudziła się o świcie, leżała na łóżku między małym Hondem i Rickiem. Obaj jeszcze spali, a ona wyobraziła sobie, że są trzyosobową rodziną, która budzi się tak co dzień.

To było cudowne. Mimo rwetesu w pracy przez cały ranek była w znakomitym nastroju.

Aż do tej chwili.

Spojrzała do kalendarzyka i nagle przypomniała sobie, że po południu ma egzamin z łaciny. Wczoraj wieczorem powinna się do niego uczyć. Jęknęła, przyciskając palce do skroni.

Ojej!

Czy ani na chwilę nie można zapomnieć o obowiązkach?

Od wyjazdu Grahama opuściła się w nauce. Czy w ogóle uda się jej zdobyć w miarę przyzwoite stopnie? Oparła głowę na stole i wylądowała twarzą w galaretce.

Fuj!

Wytarła policzek serwetką, pozbywając się resztki złudzeń. Kogo ona chce oszukać? Nie jest niczyją żoną ani matką. Jest zwykłą kelnerką z restauracji.

Marzenia o życiu u boku Ricka to zwykła strata czasu.

Wyrzuciła serwetkę do śmieci, ale nie trafiła. Wszystko było teraz takie pogmatwane. Czy skończy tak jak babcia Jayne?

Pozwoli, by szczęście wymknęło się jej z rąk z powodu para kłamstw?

Do diabła, nie!

Graham nie dotrzymał słowa. Do tej pory nie wrócił do domu, a ślub miał się odbyć za niecałe czterdzieści osiem

godzin. Czekala wystarczajaco dlugo. Nie byla mu juz nic winna. Po raz ostatni zawioldl jej zaufanie.

Powie wszystko jego rodzinie. Dzisiaj wieczorem po zajeciach z laciny.

Spojrzala z irytacja na Josha, ktory wlasnie usiadl naprzeciw niej przy stole. W jego spojrzeniu byla zlosc.

-Co sie stalo?

-Nic.

Cynthia westchnela ciiezko.

- Przeciez widze. - Zerknela na zegar na scianie. Piac minut do konca przerwy. - No, mow.

Josh oparl sie na krzesle i polozyl wielkie stopy na stole.

-Tiffany i Trent dzialaja mi na nerwy.

-Dlaczego?

-On przez caly czas ja obmacuje, a ona nie robi nic, zeby przestal.

-To brak szacunku dla siebie samej.

-Nie. To nie to. Ona go lubi.

-Tiffany nie ma pojecia, kogo lubi. Ani czego potrzebuje. Mozesz mi wierzyc.

-Widzialem ich w centrum wczoraj wieczorem.

-Jestes zazdrosny?

-Tak.

-Dlaczego sie o nia nie starasz?

-Ona myśli, ze jestem glupi.

-To ty tak uwazasz. Macie ze soba wiele wspolnego.

-Tak sadzisz?

-Wiem. Myśle, ze swietnie do siebie pasujecie. - Cynthia bawila sie swoim kubkiem. - Ale ona nie pomysli tak, poki ty nie bedziesz o tym przekonany.

-To co mam zrobic?

-Dobre pytanie. - Odstawila z trzaskiem kubek. Powie mu wszystko to, o czym myslala przez ostatnie dwa tygodnie. -

Najpierw musisz przestać się dawać wykorzystywać. Pora dorosnąć, Josh, Musisz uwierzyć w siebie. Jesteś wartościowym chłopakiem. Zaslugujesz na przyjaźń i miłość. Przestań się martwić, że kogoś zranisz. Walcz o to, czego chcesz! Jesteś za młody, żeby się poddać. Zrób to, co powinieneś! Teraz! Zanim zgorzkniejesz i staniesz się samotnym, starym człowiekiem, który mieszka w pustym domu z kobietą, której nigdy nie kochał, zastanawiając się, co by mogło być, gdyby miał odwagę zrobić kiedyś to, co trzeba.

Josh zerwał się z wyrazem determinacji na twarzy.

- Masz rację!

Uniosła wskazujący palec.

- Idź tam i powiedz Trentowi, żeby poszedł do diabła. Potem wyznaj Tiffany, co do niej czujesz. Co masz do stracenia? Życie jest za krótkie. Idź i powiedz im prawdę, Josh!

Nagle Cynthia uświadomiła sobie, że przemawia bardziej do siebie niż do kolegi. Mieli podobne problemy.

- Tak! - Josh z zapalem ruszył do drzwi.

- Hej, Josh. Restauracja jest tutaj. - Wskazała wzburzonemu chłopakowi drugie wyjście.

- Wiem. ale najpierw muszę pójść do łazienki. Potem im pokażę!

- Jasne, tygrysie!

Kiedy Cynthia udzielała rad Joshowi, w restauracji pojawił się Rick. Rozejrzał się za Cynthia, ale nigdzie jej nie dostrzegł. Podeszedł do baru i zamówił kawę na wynos.

- Ja stawiam. - Tiffany odepchnęła jego rękę z pieniędzmi.

- Dziękuję, że zajmowałaś się wczoraj Hondem.

- Sama przyjemność. To wspaniały dzieciak.

- To prawda.

- Gdzie on teraz jest?

- W przedszkolu. Po drugiej stronie ulicy.

-Aha. A gdzie Cynthia?

-W pokoju służbowym. Zaraz wróci. Co tu robisz?

-Pomyślałem, że może zechce pojechać ze mną na lotnisko, żeby przywitać naszych krewnych z Europy.

-Co? - Tiffany wybuchnęła szalonym śmiechem. - Ściągacie rodzinę z zagranicy na ten pokaz?

-Słucham?

-Świetne wesele, tylko że go nie będzie.

-Jak to?

-Halo? Jesteś tutaj? Oni zerwali, bracie! Parę tygodni temu. Wcale się nie pobierają. Czy może się pogodzili? Nie, powiedz, że ona nie wychodzi za tego kłamczuszka.

-Och! - Rick chwycił się baru, bo pokój zakołysał się przed nim.

Cynthia i Graham zerwali zaręczyny? Parę tygodni temu?

-Ale masz minę! Myślałam, że wiesz. - Tiffany filozoficznie wzruszyła ramionami. - Cóż, Cynthia nie jest rozmowna. Muszę wyciągać z niej wszystko na siłę. W każdym razie ona i twój brat robią to zamieszanie tylko po to, żeby twoja mama się cieszyła. Cynthia nie chciała. To on ją zmusił.

Rick oblizał wyschnięte usta.

- Ona jest taka dobra. I uczuciowa. Pewnie dlatego, że była bardzo samotna w dzieciństwie, teraz nie potrafi powiedzieć twojej mamie, że nie wyjdzie za tego kłamczuszka, twojego brata. Będzie musiała zapłacić za to idiotyczne wesele, które wcale się nie odbędzie, żeby oszczędzić komuś przykrości...

Rick poczuł, że oczy zachodzą mu mgłą.

- Chciała, żeby twój brat powiedział wszystko rodzicom. Ale nie. Dla mnie to po prostu łobuz.

Tiffany wytrzeszczyła oczy na Ricka.

-Hej! Dokąd idziesz?

-Powiedz Cynthii, że przyjdę później. Nie, nie, nie mów jej, że tu byłem, dobrze?

Tiffany skinęła głową.

-Chcesz jej zrobić niespodziankę z tymi krewnymi. Rozumiem.

-To dobrze. Dziękuję.

- Zapomniałeś o kawie! - zawołała za nim Ale Rick już tego nie słyszał.

Tego wieczoru, kiedy Rick wszedł do domu rodziców, matka energicznie przesuwiała meble, a ojciec przyglądał się, paląc spokojnie fajkę. Ciotka Wally i jej mąż, wujek Fritz, z Frankfurtu, drzemali w fotelach przy kominku, odpoczywając po zmianie czasu i sporej ilości wypitego koniaku. Marcella siedziała przy antycznej sekretarce w rogu, paląc cygaretkę i kłócąc się przez telefon z dostawcą jedzenia. Jakiś błąd wkradł się do menu na sobotę. Wynajęta służba wpadała i wypadała z pokoju, przygotowując dom do wielkiego święta.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby ten ślub miał się odbyć. Rick, oparty o kolumnę, schował się w przejściu pod łukiem i obserwował całą krzątanicę z ukrycia. Przez cały dzień zastanawiał się nad tym, co Tiffany powiedziała mu o Cynthii.

Po przemyśleniu wszystkich szczegółów wciąż dochodził do tego samego wniosku: Cynthia jest niewinna.

Odziedziczyła dom, bo Alfred pragnął, żeby ktoś z rodziny Jayne cieszył się rezydencją, którą zbudował kiedyś dla swojej ukochanej. Skoro Alfred tak chciał, dobrze.

Oczywiście Graham potrafił być uroczy i czarujący, kiedy mu na tym zależało, ale Rick był pewny, że Cynthia zgodziła się poślubić go tylko dlatego, że tęskniła za rodziną. Alfred był dla niej oparciem. Wprawdzie miał w sobie coś z playboya, ale potrafił dobrze oceniać ludzkie charaktery. Nie

zdobyłby fortuny, gdyby nie umiał rozpoznać oszustwa. Cynthia nie chciała nikogo oszukać.

I bardzo kochała jego rodziców. To było oczywiste. Zresztą i oni ją kochali.

Przez trzy tygodnie, które spędzili ze sobą, Rick ani razu nie zauważył, żeby zachowała się egoistycznie. Och, oczywiście, ona i Graham narozrabiali z tym ślubem, ale to nie znaczy, że są nieuczciwi. Przynajmniej Cynthia. Graham zawsze był zagadką, ale w tym wypadku nie chodziło o niego, Rick poczuł, że ogromny ciężar spadł mu z serca.

Cynthia była wolna.

Do więzienia.

Czy uda mu się przekonać ją, że jest dla niej najlepszym partnerem?

- Harrison? - Katherine przerwała ustawianie mebli i spojrzała na męża. - Co myślisz o tym, żeby postawić ten pulpit między kolumnami, a nie pod oknem?

- Spytaj Cynthię.

- Jeszcze jej nie ma. Zdaje egzamin z łaciny, więc przyjdzie później.

- Mm - zamruczał Harrison.

- Chciałabym ustawić krzesła w tę stronę. Cynthia zejdzie ze schodów wsparta na twoim ramieniu, potem przejdzie przez foyer, pod łukami, za krzesłami, aż... tutaj. - Wyciągnęła szczupłą rękę. - Harry, co o tym sądzisz?

- Mhm - pokiwał głową Harrison. - Świetnie.

Przy drzwiach frontowych zadzwonił dzwonek. Chwilę potem Rick usłyszał głos Cynthii. Przyszła. . - Cześć. - Cześć.

- Jak poszedł egzamin?

- Trudno powiedzieć. Byłam trochę... roztargniona. Spojrzał na nią tak, żeby wiedziała, że ją rozumie. I jej pragnie.

Zrozumiała i odwróciła głowę.

- Ciężko pracujesz, Katherine.  
- Pracuję? - Katherine roześmiała się. - Ależ nie. To zabawa. Jak było na zajęciach?

- Dobrze.  
- Naprawdę, kochanie, jak wyjdiesz za mąż, powinnaś zapomnieć o nauce.

- Ale ja...  
- Cynthia lubi swoje studia, mamó - wtrącił się Rick. Spojrzała na niego z wdzięcznością.

Na widok Ricka Marcella zerwała się z krzesła i podbiegła się przywitać.

- Rick, kochanie, wyglądasz dzisiaj fantastycznie. Cześć, Cynthia. Z kim się całujesz na studiach? - Jej drażniący oddech unosił się w powietrzu wraz ze śmiechem.

- Cynthia chce być tłumaczką - wyjaśnił Rick.  
- A po co? Twojemu mężusiowi będzie potrzebny tylko język miłości, prawda, Katherine? - I wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Ale ja chcę pracować - zaprotestowała Cynthia. - Podróżować. Poznać świat. W dzieciństwie nigdzie nie wyjeżdżałam. A teraz uczę się i pracuję i nie mam czasu na wakacje.

- Myślę, że to bardzo szlachetny zamiar. - Rick z aprobatą kiwnął głową.

- Naprawdę? - ucieszyła się Cynthia.  
- Oczywiście. W mojej pracy zawsze brakuje tłumaczy. Bardzo często musimy zgadywać, co pacjent usiłuje nam powiedzieć. Od znajomości języka często zależy czyjeś życie.

- To ciekawe. - Cynthia przyglądała mu się z zastanowieniem. - Nigdy o tym nie myślałam.

- A powinnaś. Masz wyraźne predyspozycje do takiej pracy. Katherine pomachała rękami z dezaprobatą.

- Rick, nie mąć w głowie temu dziecku. Ona zostanie tutaj i urodzi nam wspaniałe wnuczeta. Wszyscy moi znajomi już je mają i ja... też chcę. - Katherine przykucnęła, oszczędzając plecy, i przesunęła na bok wielki stojak z mosiądzu i szkła.

Wszyscy aż wytrzeszczyli oczy. Gdzie się podziała dawna Katherine, która jeszcze miesiąc temu nie mogła ustać na własnych nogach?

Rick coraz lepiej rozumiał kłopotliwe położenie Cynthii.

Katherine oparła ręce na wąskich biodrach i obrzuciła wzrokiem pokój.

-Harrison, musimy przesunąć tę kolumnę.

-Mm - . zamruczał Harrison, pykając z fajki. - To może być błąd, kochanie.

-Dlaczego?

-Bo ona podtrzymuje dom.

-Och, to okropne. Nie będzie dobrze widać, chyba że... - Klasnęła w ręce, budząc ciocię Wally i wujka Fritza. - Wiem! Musimy zrobić małą próbę.

Szybko wyjaśniła Cynthii koligacje rodzinne łączące ją z krewnymi z Niemiec, a potem zastukała obcasami, podbiegając do Marcelli.

- Marcella, kochanie, ty będziesz pastorem. - Wzięła ją za rękę i zaprowadziła na miejsce. Potem odwróciła się na pięcie i wskazała na Harrisona i Cynthię. - Stańcie w foyer. Rick, ty obok Marcelli. Ciociu Wally, proszę usiąść tutaj, a wujek... tutaj. A teraz, Wally i Fritz, powiedzcie nam, co widzicie.

- Was sollen wir machen? - spytała ciocia Wally, zastanawiając się, co ma zrobić.

- Ich habe keine Idee - powiedział wujek Fritz, wzruszając ramionami.



- Katherine will dass Sie sich hinsetzen und uns erzählen ob Sie alles sehen können. - Cynthia przetłumaczyła polecenie Katherine i posadziła ciocię i wujka na ich miejscach.

Ciocia Wally była wyraźnie zachwycona umiejętnościami lingwistycznymi Cynthii.

- Sie spricht Deutsch sehr gut - pochwaliła ją.

- Ja - przytaknął z uśmiechem wujek Fritz.

-Und sie heiratet unseren Rick?

-Ja. - Wujkowi Fritzowi także wydawało się, że Cynthia ma poślubić Ricka.

-Ja... - Cynthia chciała wyjaśnić nieporozumienie, ale Katherine pociągnęła ją do foyer i ustawiła z Harrisonem na szczycie schodów.

-Jak usłyszycie marsz weselny, to znak, że macie schodzić ze schodów.

Przejęta swą rolą Katherine zawołała, żeby służący przyszli z kuchni i usiedli na krzesłach. Chciała sprawdzić, czy z każdego miejsca w salonie będzie dobrze widać. Potem skinęła na Cynthię i Harrisona i zaczęła nucić.

- Dum, dum, ta - da! Dum, dum, ta - da! Dum dum de dum dum da dum dum ta - da! Dobrze, Harrison, zaprowadź Cynthię do Ricka i podaj mu jej rękę. Dobrze, dobrze. Teraz się cofnij... Dobrze, tak, teraz będzie „kto daje tę kobietę”, Harrison, tak, dobrze i... usiądź. Teraz Marcella, wyjdź naprzód. Czy wszyscy dobrze widzą?

Zupełnie zdezorientowani ciocia i wujek skinęli machinalnie głowami.

-Teraz Rick, weź Cynthię za rękę i skieruj tak, żeby patrzyła na ciebie, tak, dobrze.

-Marcella, idź!

-Gdzie?

-Będiesz wygłaszać przemówienie.

- Och! - Marcella klepnęła się w czoło i zaśmiała się. - Dobrze. - Zachichotała i wczuła się w rolę. - Moi drodzy! Zebraliśmy się tu, żeby uczestniczyć w świętym akcie małżeńskim. Coś w tym rodzaju. - Wszyscy wybuchnęli śmiechem, nawet ciocia i wujek, choć kompletnie nie wiedzieli, o co chodzi.

- Dobrze, teraz Rick, ech, Graham - znów zachichotała. - Czy chcesz pojąć za żonę tę kobietę i być z nią na dobre i na złe, w szczęściu i w nieszczęściu, w zdrowiu i w chorobie, dopóki śmierć was nie rozłączy?

Katherine klasnęła w rękę.

- Świetnie, Marcella! Marcella zatrzepotała rękami.

- Kilka razy składałam tę przysięgę - powiedziała skromnie. Rick spojrział w oczy Cynthii, wciąż trzymając ją za rękę.

W jej twarzy widział swoje przyszłe szczęście. Miłość. Radość. Dzieci, podróże i ciężką pracę. Niczego na świecie nie pragnął bardziej, niż pojąć tę kobietę za żonę.

- Tak - powiedział tak głośno i stanowczo, że wszystkie głowy zwróciły się z zainteresowaniem w ich stronę.

- O Boże! - wrzasnęła Marcella. - Okej! Czy ty, Cynthio, chcesz pojąć za męża tego mężczyznę i być z nim na dobre i na złe, w szczęściu i w nieszczęściu, w zdrowiu i w chorobie, dopóki śmierć was nie rozłączy?

Zapadła tak długa cisza, że wszyscy zaczęli się trochę niepokoić. W końcu Cynthia uśmiechnęła się.

- Tak - powiedziała głośno, nie spuszczając wzroku z Ricka. Marcella znów zachichotała,

- Ojej! No, w takim razie ogłaszam was mężem i żoną. Możesz pocałować pannę młodą.

Rick wiedział już, że Cynthia jest wolna. Nie w głowie mu była ostrożność. Wziął dziewczynę w ramiona. Nie opierała

się. Ochoczo podała mu usta, jakby czekała na tę chwilę przez całe życie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Ojej! - jęknęła Marcella. Ten pocałunek coś jej przypominał. Potem, jakby w nadziei, że jej wesołość rozładuje sytuację, zaśmiała się i zaklaskała w dłonie, żeby obwieścić koniec próby. - To dopiero jest aktorstwo!

Wszyscy zebrani wychylili się do przodu, wpatrując się w całującą się parę z fascynacją i przerażeniem, niczym świadkowie wypadku, którzy oglądają wykolejony pociąg. Katherine i Harrison chwycili się za ręce. Ona przytuliła się do niego, a na ich twarzach malowało się zmieszanie. W końcu Cynthia opamiętała się i cofnęła. Ten pocałunek ją także zaskoczył. Zaśmiała się histerycznie, przykładając dłonie do rozpalonych policzków.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Ach, dobrze, ona się śmieje. Wyglupiali się. Jak to brat i siostra. Wszystko w porządku, czyż nie?

Cynthia nie była pewna.

Wolno podniosła wzrok na Ricka i to, co zobaczyła, wywołało jej wzburzenie. - W oczach Ricka była miłość. Prawdziwa i szczerą jak samo złoto. W ułamku sekundy wszystko się zmieniło.

Byli zakochani.

Wreszcie musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Była zakochana w bracie eksnarzeczonego. On też się w niej zakochał, choć myślał, że jest zaręczona z jego bratem. Jakie szanse miał związek oparty na nieprawdzie?

Od początku go oszukiwała.

Pocałował ją przed chwilą, wiedząc, że ma zostać żoną jego brata.

Jak można zaufać takiemu mężczyźnie? Jak on może zaufać takiej kobiecie?

Poza tym zakochała się w dziwaku. Człowieku, który tak lubił podróżować, że nie myślał nawet o rodzinie. Zawsze

chciał od niej uciec. Nie. To nie był mężczyzna dla niej. Nieważne, że rozpalał jej wszystkie zmysły.

- Wyjdź za mnie - wyszeptał jej do ucha tak, żeby nikt nie słyszał.

- Wystarczy, kochanie - zawołała Katherine, wciąż przytulając się do męża. - Dość tych żartów.

- Tak, mamó - odparł Rick i znów pochylił się ku Cynthii.  
- Wyjdź za mnie.

- Synu - wtrącił się Harrison. - Zrób to, o co prosi cię matka. Wystarczy błazenady. Mamy mało czasu.

- Wiem.. - Rick zajął Cynthii głęboko w oczy. - Wyjdź za mnie.

Łzy napłynęły jej do oczu. Niczego bardziej nie pragnęła. Ale to było niemożliwe.

- Nie mogę - załkała. Potem odwróciła się i wybiegła. Frontowe drzwi trzasnęły głośno. Zapadła niezręczna cisza, którą w końcu przerwał Harrison:

- Richard, twoje wygłupy przestraszyły biedną Cynthię. I matkę. Całe szczęście, że Graham tego nie widział.

- Harrison odsunął ostrożnie Katherine i wolno wstał, nie spuszczać wzroku z syna, po czym wycelował w niego fajką.

- Lepiej przeproś za swoje zachowanie, chłopcze.

- Tak. - Rick westchnął i potarł napięte mięśnie szyi. Powinien przeprosić.

Także Cynthię.

- Dlaczego wróciłaś tak wcześnie? Myślałam, że... - Tiffany leżała na łóżku obok stosu klocków. Zmęczony Hondo drzemał na poduszce, ściskając w tłustej rączce jeden klocek. Najwyraźniej Tiffany bawiła się sama, budując zamek ze zwodzonym mostem. - Co się stało? - Podniosła się z materaca i już za chwilę trzymała w objęciach przemoczoną i zapłakaną koleżankę.

- P - pocałował mnie - zaszlochala Cynthia. - I o - oświadczył się. Miałam powiedzieć rodzicom, że nie będzie ślubu, ale u - uciekłam, bo tak na mnie p - patrzył. Chcę w - wyjść za niego, ale nie mogę. W - wszyscy patrzyli i t - to było straszne!

- W porządku. - Tiffany posadziła Cynthię na krześle i podała jej chusteczkę. Potem kucnęła przy niej i zajrzała jej w twarz.

- Nic nie rozumiem - powiedziała, udając język migowy. - Co chcesz mi powiedzieć?

Cynthia wytarła głośno nos i westchnęła.

- Dwie godziny wracałam do domu. Zabrakło mi benzyny na autostradzie. Lało jak z cebra. Zjechałam na pobocze, ale nie wiedziałam, że jest tak stromo. Musiałam wyjść przez okno i złamałam obcas. Pół godziny szłam do stacji benzynowej. Pożyczyłam kanister i jakiś miły człowiek podwiózł mnie do samochodu. Ale samochód był tak przechylony, że więcej benzyny wyciekło, niż się wlało...

Tiffany zmarszczyła brwi.

- Kiedy cię pocałował?

- Kto?

- Nie wiem kto!

- Ach, Rick.

Tiffany zapiszczała. Hondo otworzył oczy, jęknął, westchnął i znów zasnął.

- Kiedy?

- Podczas ceremonii ślubnej.

- Co?

- Robiliśmy próbę. On był panem młodym.

- On? Pobieracie się?

- Nie. On myśli, że jestem zaręczona z Grahamem, a ja nie zniosę już drugiego oszukańca.

- Oszukańca? Ale on... - Tiffany odwróciła głowę w bok. -  
Co to za hałas?

Zza okna, z dołu, dobiegały dźwięki gitary. Cynthia  
wzruszyła ramionami.

- To pewnie sąsiedzi.

- Tu nie ma sąsiadów, Cynthia.

- Prawda...

Nagle Cynthia zaczęła rozpoznawać melodię. Czy to  
możliwe? Nie. Tak! Jacyś mężczyźni na dole śpiewali  
„Zabierz mnie na bal”. Cynthia podbiegła do okna.

- Nie do wiary! Przyszedł się oświadczyć. Jeszcze raz!  
Tiffany też wyjrzała na dwór.

- To idź tam i powiedz, że się zgadzasz.

Raz dwa trzy Otwórz mi drzwi

- Buzi ci dam, gdy poślubisz mnie - wydierał się Rick, a  
kilku mężczyzn wtórowało mu z zapalem.

- Eeeee. - Tiffany zmarszczyła nos.

- Nie zgodzę się. On nie jest lepszy od swojego brata.  
Myśli, że jestem zaręczona z Grahamem.

- Nie myśli.

Cynthia spojrzała na Tiffany.

- Jak to nie?

- Bo mu powiedziałam, że zerwaliście.

- Naprawdę?

- Mhm. Ale wydaje mi się, że on już wiedział. Ty i jego  
brat kłamczuszek nigdy nie pasowaliście do siebie.

Cynthia znów wyjrzała przez okno. Wszystkie uczucia -  
miłość, ulga, smutek, strach i duma - targały nią, gdy patrzyła  
na ukochanego mężczyznę moknącego w deszczu z bukietem  
czerwonych róż i butelką wina w ręku. Jeśli jej wzrok nie  
myliła to Phillip Michael Allen grał na gitarze, a jego dwaj  
ogoleni na łyso asystenci trzymali parasolki i robili chórek.

- Co zamierzasz? - spytała Tiffany, kiedy Cynthia oderwała się od parapetu i pobiegła do drzwi.

- Sama nie wiem! - wymamrotała, czując ucisk w gardle.

Cynthia pchnęła potężne mahoniowe drzwi i wypadła na dwór. Zbiegła po schodach, nie zważając na deszcz, który mieszał się z jej łzami. Mokra sukienka przylepiła się do ciała.

- Co ty robisz? - krzyknęła.

Rick dał znak towarzyszom, żeby przestali śpiewać i schowali się przed deszczem. Ze śmiechem ruszyli do samochodu.

- Chcę, żebyś za mnie wyszła - powiedział, zbliżając się do niej.

- Ale... ale... - jąkała się. - Nie mogę.

- Dlaczego?

- Bo oszukiwałam cię przez cały czas. - Cynthia wciągnęła powietrze i zaczęła szlochać. - Tak mi przykro. Nie wyjdę za Grahama. Właściwie nigdy go chyba nie kochałam. Odziedziczyłam ten głupi dom, a tak naprawdę to zawsze chciałam mieć o - ojca i m - matkę. Bałam się, że mnie znienawidzą, jeśli nie wyjdę za Grahama i z - zabiorę dom.

- Ciii... Wiem. I rozumiem. - Rick objął ją i pocałował w skroń. - Nie płacz, kochanie. Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. Wiem, że kochasz moich rodziców i zrobiłabyś dla nich wszystko. Zrezygnowałabyś nawet z własnego szczęścia.

Rozumiał ją! Cynthia zaczęła jeszcze głośniejsze szlochać.

- Nie kochałam Grahama, ale tego nie wiedziałam. Dopiero ty...

Rick otarł z jej twarzy krople deszczu i łzy. Potem delikatnie ucałował jej policzki i uniósł jej brodę.

- Nasi dziadkowie byli tak uparci - powiedział, patrząc jej prosto w oczy - że utracili swoją miłość. Chcesz zrobić to samo?

-Nie.



- To wyjdź za mnie. Kocham cię. Momentalnie zeszywniała.

- Och, Rick, ja też cię kocham, ale mamy tyle problemów.

- Wszystkie możemy rozwiązać razem.

- Nie potrzebujesz rodziny.

- Co ty opowiadasz?

- Bo zawsze uciekasz od swojej. Rick wybuchnął śmiechem.

- Mam pracę, Cynthia. Faktycznie, muszę wyjeżdżać, ale to nie znaczy, że ich nie kocham.

- Naprawdę? - Pociągnęła nosem.

- Tak. Tylko nie mogę z nimi mieszkać. Kocham moich rodziców i brata, choć czasem nie postępuje mądrze. Ale chcę mieć własną rodzinę i - pochylił się ku jej twarzy - własną kobietę. . .

- A Graham? - wymruczała tuż przy jego ustach.

- Da sobie radę.

Cynthia uśmiechnęła się.

- To prawda. Co będzie z domem Alfreda?

- A co chcesz z nim zrobić?

- Myślałam, żeby go oddać.

- Komu?

- Jakiejś organizacji charytatywnej. Dla nas zostałaby przybudówka, a tu byłby dom dla niezamężnych dziewcząt z dziećmi.

- Mhm. Dobry pomysł. Ja się zgadzam. Będziemy wyjeżdżać z misjami medycznymi za granicę. - Potarł nosem o jej nos. - Potrzebujemy tłumaczy - zaczął kusić.

- To brzmi interesująco. - Cynthia zaśmiała się radośnie. - W takim razie dobrze. Zgadzam się.

- Tak?

- Tak!

- Tak! - Rick porwał Cynthię w ramiona i zakręcił ją w kółko.

Tiffany przyklejona na górze do szyby odetchnęła z ulgą.

- Tak - powtórzył Rick i pocałował Cynthię w usta.

## EPILOG

Dzień przed Wigilią Bożego Narodzenia zaczął prószyć śnieg. W udekorowanym świątecznie domu Wingate'ów kłębił się tłum znajomych i przyjaciół. Marcella, kopiąc jak komin, scenicznym szeptem wydawała polecenia służbie. Goście cicho rozmawiali, czekając na rozpoczęcie uroczystości. Z magnetofonu sączyły się dźwięki kolęd, a we wszystkich pokojach migotały płomyki świec.

Graham, który właśnie przyjechał z Francji, miał już na sobie smoking. Cynthia stała na szczycie schodów z Harrisonem, nerwowo wygładzając suknię, a Tiffany wychylała się z balkonu w zadziwiająco skromnej maturalnej sukience, czekając na znak Marcelli.

Prawnik Alfreda ogłosił przed chwilą, że ostateczna decyzja w sprawie rezydencji Wingate'ów zostanie ogłoszona po ceremonii. Wielu z tych, którzy byli obecni na odczytywaniu testamentu, czekało z niecierpliwością na tę chwilę. Czy w testamencie była jakaś pomyłka? Czy Cynthia nie odziedziczy rezydencji?

Atmosfera była napięta.

Nagle kolędy ucichły i rozległy się pierwsze akordy marsza weselnego. Tiffany zakręciła się i złapała Cynthię za rękę.

- Powodzenia! - szepnęła, po czym odwróciła się i zbiegła po schodach. Kiedy była już na dole, pomachała do Josha i przesłała mu pocałunek.

Graham i Rick podeszli do ołtarza i odwrócili się twarzami do zebranych. Potem Cynthia, wsparta na ramieniu Harrisona, zaczęła schodzić po schodach, zbliżając się do swojego przyszłego męża. Kiedy stanęła, pastor spytał:

- Kto oddaje mężowi tę kobietę?  
- W imieniu jej nieodżałowanych rodziców i dziadków - ja - oznajmił uroczyście Harrison. - Drżącymi

rękami podniósł welon i ze łzami w oczach ucałował Cynthię w policzek. - Wiem, że dasz mojemu synowi szczęście.

Cynthii także zabłysły łzy w oczach.

- Pragnę tego najbardziej na świecie.

Harrison usiadł obok popłakującej cicho żony i na moment Cynthia została sama. Potem Graham wysunął się do przodu, wziął ją za rękę i przyprowadził do Ricka.

- Zaszła mała zmiana - powiedział, łącząc ręce Cynthii i Ricka.

W salonie rozległ się szmer.

Kiedy Rick i Cynthia zwrócili twarze do pastora, Katherine zaczęła wachlować się programem. Z wrażenia osunęła się na pierś męża. Harrison był także zszokowany. Marcella z otwartymi ustami zaczęła gwałtownie szukać w torebce papierosów, a ciocia Wally i wujek Fritz z uśmiechem pokiwali głowami i spojrzeli sobie w oczy.

Graham odwrócił się do Cynthii i po raz ostatni złożył na jej ustach pocałunek.

- Dbaj o nią, braciszku. Kocham ją jak siostrę - powiedział cicho.

- Tak - powiedział Rick, składając przysięgę Grahamowi i Cynthii. - Tak.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Cynthia Noble znów miała swoją własną rodzinę.